Nr. 45. Lwów, Niedziela dnia 15. Lipca 1877 r. Tom V.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Nauki przyrodnicze

w naszych szkołach.

Nam, rozbitym politycznie, przygniecionym klęskami, błądzącym po omacku w wyborze przekonań filozoficznych i politycznych, szamocącym się bez wytchnienia z wrogami ducha i ciała, nam, którzy jeszcze wszystko do zdobycia mamy, przedewszystkiem potrzeba, by to ciało i ten duch, do walki stawiane, były zdrowemi. Nam rozmarzonym i wierzącym w nadziemskie pomoce, trzeba szermierzy zdrowych i trzeźwych, nam trzeba krzewicieli nauki prawdziwej, bośmy w nich bardzo ubodzy; oprzeć się nam trzeba na podstawach twardych, realnych, nie uginających się, byśmy się przed siłą i przemocą nie ugięli.

Trzeba nam kształcić rozum, — na brak uczucia narzekać nie możemy. Może go nawet mamy za wiele.

A któż nam przygotuje ludzi odpowiednich jeżeli nie szkoła. Tam uczą nas pierwsze kroki w nauce stawiać, ztamtąd pierwsze ogólne na świat poglądy wynosimy. Tam też powinny być pierwsze zdrowe ziarna w umysły rzucone, tam powinny być dane pierwsze podstawy zdrowych i opartych na rzeczywistości poglądów.

Wiadomo, że w wychowaniu racyonalnem nauki filologiczne idą z przyrodniczemi w parze. Obok nauki języka, nauki mającej do czynienia z wyrazami, z *symbolami* pojęć ogólnych, idzie nauka przyrody, której przedmiotem jest znajomość *rzeczy*, a nie ich symboli.

Oba kierunki wspierają się wzajemnie, jeden daje w wychowaniu stronę formalną, drugi pod te formy podkłada treść istotną. Jeden kierunek wspiera drugi dążąc do wypełnienia najważniejszego zadania szkoły, do harmonijnego rozwoju władz umysłowych.

Oba te kierunki rozwijają analityczny sposób myślenia, uczą one jak z specyalnych nagromadzonych faktów wyprowadzać wnioski ogólne. Do rozwoju syntetycznego sposobu myślenia służą inne nauki, o których nie zamierzamy dzisiaj mówić.

Spójrzmy jak się te rzeczy u nas mają.

Nauka języków starożytnych ma ogromną przewagę we wszystkich prawie dzielnicach Polski. Dziecko uczy się myśleć na symbolach, na wyrazach, pod którymi nie umie znaleść istotnej treści. Kierunek analityczny myślenia rozwija się wprawdzie, dziecko uczy się fakta nagromadzać systematycznie i wreszcie robić z nich wnioski przez syntezę, lecz jak często później w życiu. przywykłe do walczenia symbolami robi najfałszywsze syntezy, wyprowadza najfałszywsze wnioski, bo nie oparte na realnych podstawach, nie na rzeczach samych.

Uczy się wojować wyrazami.

Ależ powiecie, że przecież mamy aż nadto historyi naturalnej w naszych szkołach, wykładają ją w tylu a tylu klasach, tyle a tyle godzin tygodniowo i t. p.

Prawda! ale jak wykładają i według jakiej metody! Żeby się o tem dowiedzieć sięgnijmy w przeszłość i przypomnijmy sobie cośmy z nauk przyrodniczych w szkołach wynieśli. Po większej części wstręt i zniechęcenie. Inaczej muszą być te nauki wykładane, żebyśmy z nich korzyść odnieść mogli!

Z nauki doświadczalnej, z nauki która właśnie i przedewszystkiem powinna być nauczana drogą indukcyjną, zrobiono jakieś dziwadło napiętrzone formułkami. Początkowe wykłady nauk przyrodniczych są właśnie na przekorę naturalnemu porządkowi rzeczy najogólniejszymi; z nich się zaraz na pierwszej lekcyi dowiadujemy o ogólnym podziale państwa przyrody na królestwa, uczymy się w kilku słowach odróżniać te królestwa jedno od drugiego i wykazywać ich stosunek wzajemny i to wiedząc tylko tyle o kamieniach, zwierzętach i roślinach ile nam niańka w bajkach opowiadała; dowiadujemy się o prawach zasadniczych, o ogólnych własnościach ciał, zanim pierwsze doświadczenie zrobimy, słowem uczymy się robić ogólne wnioski z zestawienia rzeczy, o których najmniejszego pojęcia nie mamy. Metoda syntetyczna używaną jest powszechnie z pogwałceniem naturalnego porządku rzeczy.

Jakże tu wyrobić się mogą trzeźwe i niechwiejne na świat poglądy, kiedy na samym początku uczymy się robić wnioski na wietrze oparte, kiedy nie rzeczy same, lecz ich złączenia służą nam za podstawę robienia sądów!

A jak pięknie się nam przedstawia całe państwo przyrody! Tysiączne, o najdziwaczniejszych nazwach zwierzęta, rośliny i minerały, mają swoje szufladki i etykiety w gabinecie, które przyrodą nazywamy. Uczymy się je wyliczać po porządku, numerować i zaraz na pierwszy rzut oka powiedzieć, jak się nazywają w języku dziwacznym i barbarzyńskim. Wiemy na pamięć, że to a to ptaszę ma czerwony ogonek a żółte skrzydełka, że słoń dorasta do wysokości tylu a tylu stóp, że kwiat ten ma pięć pręcików i liście sercowate, umiemy wiele zajmujących anegdot o zmyślności psów, kotów i koni, dowiadujemy się nawet, do czego to wszystko służy! A związku bliższego, naturalnego, w całym szeregu państwa przyrody nie znamy wcale, uczą nas w szkołach *do czego* to wszystko służy, ale *dla czego* jest zwykle tajemnicą. Bo gdzież można, powiadają na ten zarzut, w młode umysły wszczepiać poglądy filozoficzne, które prowadzą do materyalizmu, przed umysł dziecka stawiać teorye, z których on zejść łatwo na manowce może? Ależ tu nie chodzi o teorye filozoficzne, chodzi tu o wykazanie związku naturalnego między tworami przyrody, o wykazanie ich wzajemnego oddziaływania na siebie, ich zależności od wpływów zewnętrznych, o przedstawienie przyrody tak jak ona jest, a nie tak jak by się ją mieć chciało.

W szkołach naszych brak tego prawie zupełny. Historya naturalna stała się nauką formalną, nudną i nie pobudzającą wcale do myślenia.

A rezultatem tego jest, że młodzież wychodzi u nas ze szkół z odrazą do nauk przyrodniczych, z pojęciami spaczonemi, z poglądami filozoficznymi, które lada sofista zbić może. Każdy, który jak piszący te słowa, zmuszony był w wykładach swych w szkole wyższej opierać na elementach

nauk przyrodniczych wykładanych w szkołach początkowych i średnich, przyjść musiał do tego przekonania.

Reforma w tym ważnym dziale naszego wychowania, jest konieczną. Potrzebę tę czują światli i postępowi nauczyciele, nieraz słychać głosy oburzenia na system dotychczasowy, lecz do reformy na seryo nie przystąpiono jeszcze nigdzie. Czyżby tak miało pozostać na zawsze. Czyż my tutaj w Galicyi mamy iść dalej wzo rem Moskali, którzy w szkołach Królestwa zredukowali wykłady przyrodnicze do objętości homeopatycznej, by o ile można wytępić u Polaków samodzielniejsze i trzeźwiejsze, nie na mrzonkach, lecz na rzeczywistości oparte poglądy.

Przykład ten jest wymowniejszy, niż wszystkie nasze wywody!

Inicyatywę w tym względzie miało podjąć Towarzystwo polskich przyrodników imienia Kopernika. Na zeszłorocznem walnem posiedzeniu zrobiono wniosek odpowiedni i wybrano specyalną komisya dla zbadania tej sprawy. Jednak minęło już pół roku a o sprawozdaniu komisyi nic nie słychać.

Ze względu na ważność przedmiotu interpelujemy Towarzystwo przyrodników, co się z tym wnioskiem stało?

MARYSIA.

PRAWDZIWE OPOWIADANIE WIEŚNIACZKI

przez

ZOFIĘ RUDNICKĄ.

Nie w celu by dowieść, że w ludzie wiejskim mogą się znajdować szlachetne i trwałe uczucia — gdyż to nie podlega wątpliwości — podaję niniejsze najprawdziwsze opowiadanie: lecz dlatego, że takiej głębokiej i prawdziwej miłości nie spotyka się często w życiu. Jest ona rzadkością tak między ludem jak i między klasą oświeconą.

W pięknym dniu majowym wyszłam do ogrodu dla dojrzenia robotnic przygotowujących ziemię pod siew i sadzenie jarzyn i kwiatów. Natura cała tchnęła świeżą młodością, powietrze przepełnione balsamiczną wonią kwitnących grusz i jabłoni, napawało rozkoszą, jakiej doznaje się tylko w dniach wiosny, gdy wszystko jeszcze w kwiecie i nadziei. W naturze, tak jak w życiu ludzkiem, niejeden kwiat najpiękniejszy, niejedną drzewinę obiecującą zwarzy późniejszy skwar letni, zdradliwy robak podtoczy, złe i nieprzyjaźne tchnienie zgniliżną zarazi! Na wiosnę roślinność młoda, nie doświadczywszy jeszcze burz, niepogód i skwarów, wesoła, raduje oko patrzącego. Letnie dnie chociażby najpiękniejsze są już po koniecznych, z natury wypływających doświadczeniach, zmęczone, nie orzeźwiają już tak i duszy ludzkiej.

Usiadłam pod rozłożystą jabłonią, okrytą bladoróżowym kwiatem, słowik, rzeźwy jeszcze chłodem poranku, w pobliskich bzach kwitnących wyspiewywał pieśń swoję miłośną. Pozdrowiwszy robotnice po zwyczaju i odebrawszy nawzajem uprzejme pozdrowienie, zabrałam się do czytania przyniesionej ze sobą książki. Blisko bardzo, gdyż pod tą samą jabłonią, u nóg moich prawie, siedziała kobieta w średnim wieku z widocznymi śladami znakomitej niegdyś piękności, dobrze mi znajoma Marysia i gatunkowała młodziuchne roślinki przeznaczone do przesadzania. Przyjściem mojem przerwana została żywa rozmowa młodych dziewcząt, które spostrzegłszy przecież, iż nie zwracam na nie uwagi, lecz czytam przyniesioną książkę, powróciły do zajmującej je i gwarnej pogadanki. Po chwili uderzyły mnie wyrazy: — Co też teraz zrobi Naścia, gdy Wasyl powrócił z wojska? Wypiła w sobotę wódkę od swatów Stefana, a ten, jakby tylko tego czekał, przyszedł wczoraj. — Złożyłam książkę na kolana i słuchałam uważnie, znając bardzo dobrze dziewczynę i parobczaków, o których była mowa, i myśląc przytem: nie potrzeba w drukowanej powieści szukać trudnych nieraz, boleśnych a cichych walk i wzruszeń serdecznych; ma je wioska, dwór, niemal chata każda. Dlaczegoż podobny dramat odegrany w życiu nie poruszy nas nigdy tak, jak napisany w książce? Dlaczego tak często czujemy łzę pod powieką czytając opisaną nieszczęśliwą miłość — a suchem okiem patrzymy na setki serc zabitych rachunkiem światowym? Zamyślona tak, słuchałam rozmowy dziewcząt młodych, w końcu zapytałam siedzącej w milczeniu przy mnie kobiety. — Czy Naścia kochała pierwej Wasyla? — Ona spojrzała na mnie czarnemi, wyrazistemi i jeszcze bardzo pięknemi oczyma. — Kochała? — wymówiła powoli i niby ironicznie. — A gdzież oni dzisiaj wiedzą, co to kochać? U nich kochanie, to pustota — at, aby taniec zapłacił, wódką lub piwem poczęstował, na jarmarku wstążkę kupił — to już i kochaniem nazywa, a ten z oczów, to zaraz dobry inny. Nie tak było z kochaniem, które Bóg na mnie był zesłał.

Gdy wymówiła te słowa, oczy jej zapałały takim ogniem namiętnym, taką grą niewygasłego uczucia, iż zadrżałam pod ich blaskiem.

— Jakto, — zapytałam nieśmiało prawie, — to wy kochałyście się będąc dziewczyną?

— Pani nie mogą tego pamiętać, bo was tu jeszcze nie było, — pan nasz był wtedy kawalerem. — Zamyśliła się zbierając niby wspomnienia.

— Ale to przecie pani wiedzą, że Fedio to już mój drugi mąż?

— Nie, moja Marysiu, i tego nie wiedziałam.

— Tak pani, z pierwszym mężem żyłam 18 lat; dobry był człowiek, poczciwy, pracowity, nigdy mi marnego słowa nie powiedział, miałam ośmioro dzieci, a tego, którego kochałam, nigdy zapomnieć nie mogłam, chociaż go nawet we wsi nie było cały ten czas, i chociaż wszyscy mówili, że już nie żyje, że umarł gdzieś na „czużyni.“

— Powiedzże mi, dlaczego nie poszłaś za tego, którego kochałaś, ale za innego?

— Dlaczego nie poszłam za niego? Bo go wzięli na żołnierza. Ale dlaczego jam go tyle lat zapomnieć nie mogła, dlaczego będąc żoną innego, a bardzo dobrego człowieka, dlaczego mając ośmioro dzieci, z których sześcioro zaledwie podchowane zmarły mi, dlaczego wśród ciężkiej pracy, a cięższych jeszcze przednowków, jam go nigdy z oczu i duszy nie traciła, — to już tylko Bogu wiadomo! — Takie kochanie, jak było w mojem sercu dla niego, może być tylko z Bożego dopustu.

W opowiadaniu tej prostej kobiety staram się trzymać wiernie słów jej własnych. Mówiła tak pięknie, wyrażała się z takiem głębokiem uczuciem, z taką prawdziwą poezyą, iż tylko lękać mi się przychodzi, że słowa jej wzięte pod nieudolne moje pióro i przeniesione na papier zblednąć muszą. Słysząc wyrażenia i zwroty w mowie, do jakich nie przywykliśmy u prostych ludzi, przyszłam do przekonania, iż miłość prawdziwa, która lat tyle ożywiała to serce, wykształciła tak i uszlachetniła duszę, a nawet powiem więcej — zachowała żywy blask pięknego oka i sympatyczny pociągający wyraz rysów.

Milczała chwilę, a blaski żywego, bo słowami wywołanego wspomnienia przebiegały po ogorzałem licu i świeciły gorąco z dużych, czarnych, południowych prawie oczu.

— Tak, pani, — ozwała się w końcu, — jam przeszła ciężkie, cięższe jak słowo wyrazić może, chwile żalu i tęsknoty, ale Bóg łaskaw wynagrodził mi to obecnem szczęściem, bom ja taka szczęśliwa, jak żadna pani, jak żadna królowa nie może być szczęśliwsza, (własne jej słowa). Dziećmi jeszcze będąc, — mówiła dalej poruszona przypomnieniem, — już kochaliśmy się z Fediem. Moich rodziców chata i chata jego rodziców przedzielone były tylko niewielkim sadem, t. j. nasz sad przytykał do ich podwórza. Pamiętam z najmłodszego dzieciństwa, iż gdy tylko z rana wybiegałam do sadu, by szukać nocą upadłych jabłek i gruszek, on stał już na płocie, a ujrzawszy mnie wskakiwał do ogrodu i pomagał w wyszukaniu owoców; tem mnie tylko martwił, że nigdy nie chciał przyjąć dla siebie najpiękniejszych, tylko mnie zmuszał do zjadania ich, zadawalniając się przebiórkami. Póki nie pędził bydła w pole, to nigdy nie poszedł pustować z chłopcami na drogę, jak to zwyczaj dzieci, ale bawił się ze mną albo w sadku, albo na naszem po dwórku, zbijając z deszczułek kołyski dla lalek, uwitych najczęściej z makowego kwiatu, lub strużąc inne zabawki. Kiedy już podrósł i zaczął gnać bydło w pole, jakże mi było smutno samej przepędzać ranne godziny! Jakże niecierpliwie stając we wrotach, oczekiwałam zapatrzona w stronę pastwiska pierwszych sztuk bydła powracających do wsi! A nigdy nie przyszedł, aby mi coś z lasu, pod którym pasali gromadzkie bydło, nie przyniósł. Albo ptaszka, któregośmy potem wspólnie wypuszczali, albo jagód, orzechów, grzybów, a w czasie, gdy nic jeszcze nie było, kwiaty mi przynosił. Inni chłopcy wyśmiewali go przezywając najrozmaiciej, on słuchał tego zupełnie obojętnie, nie gniewał się nawet, tak że można było myśleć, iż gniewać się nie umie. Ale gdy raz zgubił jałówkę, i przyzostał się w lesie dla odszukania jej, a jam nie widząc go powracającego z pola, zapytała drugiego pastuszka, także sąsiada naszego, gdzie on i dlaczego dotąd nie wraca, Iwan chcąc sobie zażartować ze mnie, powiedział: „Oho! już go nie zobaczysz, wylazł na wierzchołek czereszni za jagodami dla ciebie, spadł z drzewa i kto wie, czy jeszcze dotąd żyje, a choćby żył, to z pewnością do wieczora umrze“ — to mnie się coś było tak stało, żem nietylko biedz

do niego nie mogła, ale ani się postąpić, ani krzyknąć, ani rąk załamać, tylko tak jak stałam koło wrót, tak zdrewniałam, a chłopcy i dziewczęta idący za bydłem postawali koło mnie i śmieli się. Wtem nadchodzi Fedio pędząc odszukaną jałówkę, a widząc zbiegowisko dzieci koło naszych wrót, przeciska się; ja ujrzawszy go zdrowego, nie wiem dlaczego nie mogłam się wstrzymać od krzyku, ale z okropnym rzuciłam się mu na szyję, a potem płakać zaczęłam. Po chwili, gdym się uspokoiła, a Fedio dowiedział się, jak mnie Iwan zastraszył, jak go chwycił za piersi, jak go zaczął bić rzuciwszy na ziemię, to gdyby go byli mu nie wydarli z rąk, byłby go zabił. Od tego czasu bali go się chłopcy jak ognia i już nigdy ani z niego ani ze mnie nie żartowali sobie.

Wyrósłszy on na parobka, ja na dziewczynę, ciągle byliśmy razem; on pomagał ile tylko mógł moim rodzicom koło gospodarstwa, kochali go też i uważali już za przyszłego syna. A parobcy wszyscy wiedzieli, że czy to podczas żniw na ochotach dworskich, czy w niedzielę na muzyce, nie ma po co iść brać mnie do tańca, bo ja w taniec nie pójdę z nikim, tylko z Fediem, i onby zabił tego, któryby stanął ze mną do koła. Ażeby pani wiedzieli, jaki on był piękny a jak tańcował! Bywało gdy pojdziemy oboje w taniec, to wszyscy postają a tylko patrzą na nas i cieszą się, bo i jego i mnie cała wieś kochała; tylko jeden Iwan, ten sam co mnie tak był zastraszył, że się Fedio zabił z czereśni, zaciskał pięści i klął, bo licho go nadało pokochać się we mnie, a że był jedynakiem i całe gospodarstwo przypadało na niego, mógł się więc żenić, gdyż do wojska nie potrzebował się stawić. Przysłał też swatów do mnie, ale ja na jego wódkę patrzeć się nie chciałam. On jeden więc klął i wymyślał na Fedia, ile razy widział nas razem. Iwan był starszy i jak mówiłam wypisany z wojska. Fedio miał zaledwie lat 19, nie stawił się jeszcze do rewizyi, więc i o przysłaniu swatów do mnie myśleć jeszcze nie mógł.

Kochaliśmy się i czekali.

Pamiętam raz podczas żniw, a żęliśmy wtedy pańską pszenicę na łanie za folwarkiem, Fedio jak zwykle żął obok mnie, dokładając swoje garście do moich snopów, gdyż pszenica kończyła się, wieczór mieliśmy iść z wieńcem do dworu, a ta miała nieść wieniec, któraby najwięcej snopów użęła. Słońce piekło zwyczajnie jak w żniwa — pić mi się chciało. Fedio który był już na to przyniósł dzbanek z domu, pobiegł po wodę do źródła pod lasem. Iwan tymczasem przysunął się do mnie. Z początku nic nie mówił, tylko żął, jak gdyby nie śmiał odezwać się jakiem słowem. Ja także nic, jakbym go nie widziała. Nareszcie powiada do mnie:

— Marysiu! dlaczego ty bałamucisz się z tym Fedkiem?

— Z jakim Fedkiem? — spytałam go i popatrzyłam mu tak ostro w oczy, że aż głowę spuścił.

— Ze Steckim.

— Ja się z nim nie bałamucę — ja go kocham.

— A cóż ci z tego kochania? jego wezmą do wojska, a ty co wtedy poczniesz?

— Będę czekała.

— Marysiu! co ty gadasz? Taże to nie rok, ani dwa, ale ośm, — postarzejesz się....

— To się postarzeję, a tobie nic do tego! — powiedziałam z gniewem,—bo złość mnie brała, że mi tak gadał.

— Ba, żeby choć powrócił, a wieluż to ich idzie a nie wraca nigdy.

Mnie tak jakoś koło serca ścisnęło i zdawało mi się, że on już teraz od źródła nie powróci. Nic już Iwanowi nie odpowiedziałam, ręce mi zaciężyły i żąć prawie nie mogłam i kto wie, gdyby był Fedio nie nadbiegł z wodą, czybym była całkiem nie zesłabła. Dopytywał, co mi było; powiedziałam, że tak bardzo pić chciałam. Koło mnie żęła ta stara Naścia, co to ją pani znają, tylko że wtedy nie była taka stara jak teraz, ale była już kobietą i zaczynała się włóczyć pomiędzy żydy. Ona to powiedziała Fediowi, co Iwan mówił, że jego wezmą do wojska, że ja się tymczasem postarzeję i że on może nie wrócić do domu. Fedio taki był zły, że gdyby był zaraz dostał Iwana w ręce, to byłby go bił, jak wtedy gdy jeszcze pastuszkami byli, ale na pańskiem polu nie można było. Wieczór wracaliśmy z pola, Fedia złość już odstąpiła, może pomyślał sobie, że może tak być jak Iwan mówił. Parobcy śmieli się, żartowali, rozmawiali, on szedł cicho i bardzo był smutny; mnie się serce ściskało i także nie mogłam się śmiać z dziewczętami, chociaż wieniec pszeniczny dla mnie był przeznaczony. Już dochodziliśmy do wsi, gdy Fedio przystąpił do Iwana i powiedział bez gniewu, tylko jakimś takim dziwnym głosem, że mnie, która to słyszałam, płacz ogarnął i gdyby nie wstyd ludzi, byłabym się na głoś rozpłakała.

— Dlaczego ty mówisz mojej Marysi, że mnie wezmą do wojska i że ja ztamtąd nie wrócę, dlaczego ty ją straszysz?

— Nie nazywaj jej „swoją Marysią,“ bo ona będzie tego, komu ją Bóg sądził,—odpowiedział Iwan.

Co dalej mówili nie wiem, bo mnie dziewczęta zaczęły wkładać wieniec na głowę i śpiewać pieśni, gdyż już byliśmy pode wsią. Wydał mi się tak ciężki, iż głowy z piersi podnieść nie mogłam — szłam ze spuszczoną głową bez pieśni na ustach, bo żal wielki miałam w sercu. Pierwszy raz pomyślałam sobie, że chociaż ojciec i matka nazywają go synem, chociaż wieś cała wie, że się kochamy, ja mogę jeszcze nie być jego! Pani! wy się nie będziecie śmieli ze mnie, bo ja to mówię, jak na świętej spowiedzi,—rzekła zwróciwszy się do mnie z wyrazem dziwnie namiętnym.— Żal mi ścisnął serce, żal straszny, gdym sobie przypomniała, że Fedio chciał mnie raz pocałować, a ja nie pozwoliłam na to, nie wiem nawet dlaczego, bo przecież w tem nie ma nic złego, ale jam się czegoś bała, bałam się kochania mego. Gdybym go była mniej kochała, prędzej byłabym zezwoliła na pocałowanie. Pamiętam raz staliśmy we wrotach, przyszedł pożegnać się ze mną, jechał z transportem drzewa do Lwowa, późno już było, trzeba się było rozejść. Ojciec Fedia zawołał na niego ze swego podwórka, fura stała już upakowana. Objął mnie w pół, przycisnął do siebie i chciał pocałować, mnie zaszumiało w głowie, świat się zakręcił, zakryłam twarz rękami i odchyliłam się. On chwilę trzymał mnie przy sobie, jakby czekając, a usłyszawszy powtórne wołanie ojca, przycisnął mocniej do piersi i oddalił się powoli ku swemu podwórzu. Musiałam oprzeć się o wrota, bo mi czegoś sił zabrakło, chociaż byłam najzdrowszą i najsilniejszą dziewczyną w całej wsi. Spojrzałam za nim, szedł powoli ze spuszczoną głową, rękawem obcierał oczy — płakał.

Idąc do dworu z wieńcem na głowie, wśród spiewów i gwaru wesołego, przypomniałam sobie to pożegnanie, i jak powiadam pani, żal mnie ogarnął straszny, gdym pomyślała, że jego mogą oderwać odemnie, a jam go pocałować nie chciała i tak zasmuciła, że aż płakał. Czułam to, że gdyby nie tyle ludzi patrzących na nas, byłabym już bez lęku rzuciła mu się na szyję. Żal jaki miałam w sercu, nawet w tańcu nie opuścił mnie. On także chociaż tańcował, to już spiewać nie mógł. W tańcu spojrzałam kilka razy na niego, chociaż dziewczyna nie powinna patrzeć w tańcu na chłopca, tylko w ziemię, ale ja nie mogłam nie spojrzeć, bo tak mnie coś ciągnęło, że gdybym była wiedziała, że zaraz potem umrę, tobym była jeszcze popatrzyła mu w oczy. Przy świetle miesiąca dojrzałam znowu łzy w jego oczach; już mi było wszystko niemiło i taniec i traktament, jakim nas częstowali we dworze, to też nikt się jeszcze nie rozchodził, muzyka grała w najlepsze, a jam wymknęła się do domu. Stanęłam we wrotach, wiedziałam, że Fedio mój przyjdzie do mnie. Nie czekałam długo, a ujrzałem go biegnącego prawie. Noc była już późna, kto nie był na ochocie we dworze, to już spał dawno. On przystąpił do mnie, zdjął kapelusz z głowy, odgarnął włosy — ach! a jakie miał śliczne włosy! I teraz jeszcze piękne, wszak prawda pani! a cóż to dopiero było wtedy! Ja nie czekając aby przemówił do mnie, aby zapytał, dlaczego odeszłam z ochoty, zarzuciłam mu ręce na szyję, objęłam silnie i przyciągnęłam do siebie. On pamiętając moze, żem się pierwej pocałować nie dała, nie śmiał i teraz, ale jam twarz moją przycisnęła do jego twarzy, usta do ust, i zdawało mi się, że mi go po tym pocałunku nikt już, cesarz nawet wydrzeć nie może!

Jak długo staliśmy tak, nie wiem, ale to pamiętam, że rozplótłszy ręce z jego szyi, uczułam się silnie trzymaną przez niego; jedną ręką obejmował mnie w pół, a drugą gładził włosy moje, twarz i pieścił jak matka małą dziecinę, uspokajał temi pieszczotami, gdyż ja płakałam. Nic nie mówiliśmy do siebie, bo cóż było mówić; słowa Iwana „jego wezmą go wojska“ wisiały nad nami jak nieszczęście. Usłyszeliśmy w końcu gwar ludzi powracających ode dworu, uścisnął mnie jeszcze raz silniej, pocałował, jam się już nie broniła i rozeszliśmy się nie przemówiwszy słowa jednego. Od tej chwili nie miałam już spokoju; zdawało mi się, że mi ktoś nieustannie szeptał do ucha: „Wezmą do wojska.“

(C. d. n.)

---

*

REFORMACYJNO-SPOŁECZNE PRĄDY
w przedrewolucyjnym okresie
XVIII stulecia.

przez

DRA BOLESŁAWA LIMANOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Humanitarne zasady, krzewione w literaturze pod wpływem wolnomyślności francuskiej, przyczyniły się w pewnej mierze do złagodzenia ciężkiej doli ludu wiejskiego w północnej Europie. W Niemczech pierwszy przykład w tem dali władzcy Frankonii, Turyngii, Miśnii, następnie Saksonii. W drugiej połowie XVIII. stul. znieśli poddaństwo: Auerswaldowie w Prusach; Bernstorfowie w Holsztynie, regent Oldenburgski; margrabia badeński, Karol Frydryk, prawdziwy ojciec swego ludu (1783)*); Marya Teressa i Józef II. Ten ostatni złagodził pańszczyznę, zapewnił włościanom swobodne przechodzenie z miejsca na miejsce i ustanowił sposób, w jaki ma następować wykup robót i naturalnych powinności. W dobrach duchownych także złagodzono los włościan. Wreszcie starano się tu i ówdzie rozciągnąć nad nimi opiekę ustaw państwowych. Mówiłem już o usiłowaniach Józefa II. Frydryk II. acz nie bardzo ludzki dla chłopów, wydał wiele rozporządzeń, któremi starał się ich obronić od dowolnego przeciażania pracą przez większych właścicieli ziemskich; pod ciężką pieniężną karą zabronił panom (1749) odbierania gruntów od włościan (das Niederlegen)**); następnie zaś zamienił (1764) poddaństwo własno-osobowe (Leibeigenschaft) na poddaństwo, wypływające z posiadania gruntu (Hörigkeit). Tu i ówdzie w Rzeszy niemieckiej pozwolono chłopom odwoływać się do sądów krajowych przeciwko dowolnemu ich wypędzaniu z zajmowanych gruntów, oraz zakazano szlachcie kupować dla dworu grunta włościańskie. W Meklemburgu zabroniono wywłaszczać włościan a pozwolono tylko przenosić ich z jednych dóbr do drugich (1755); atoli przeciwko temu rozporządzeniu szlachta zaniosła skargę do cesarza. Pomimo jednak dążenia do złagodzenia doli ludu wiejskiego, srogość nielitościwa w obchodzeniu się z nim panowała niemal powszechnie w Niemczech, a zwłaszcza w tych prowincyach, gdzie do innej narodowości należał. To też objawiły się ważne rokosze włościan w drugiej połowie XVIII stul. w ziemiach, podwładnych cesarzowi niemieckiemu. W 1775 r. wybuchły powstania chłopskie w Czechach; a jeszcze straszniejszy poskromiony w 1785 r. był bunt w Siedmiogrodzie pod dowództwem herszta Hory czyli właściwie Niklasa Ursza, — wówczas spalono 61 wsi i 264 szlacheckich domów.***).

Ogólna dążność reformacyjna, propagowana gorliwie przez literaturę, udzieliła się także Szwecyi i Danii. Gustaw III., mając wprawdzie głównie na myśli wzmocnienie władzy królewskiej, zniósł tortury, rozciągnął większą opiekę nad ubogimi i aktem bezpieczeństwa 1772 r. zrównał mieszczan i włościan w prawach ze szlachtą. Za przykładem Jana hr. Bernstorffa starszego, który w 1764 r. w swoich dobrach, w pobliżu Kopenhagi położonych, zniósł poddaństwo i troskliwością swoją przyczynił się do podniesienia dobrobytu włościan, poszli w Danii synowce jego, minister Andrzej Piotr hr. Bernstorff *), szlachta i korona, nadając wolność wieśniakom. Najpamiętniejszy w tym względzie był 1788 r. Za panowania także Chrystyana VII. zniesiono tortury, monopole, cenzurę, oraz przyznano mieszczanom prawa polityczne. Wspomnę tu jeszcze i o Hollandyi, w której wskutek domagania się ludu i gorącego poparcia, jakiego mu użyczyła wpływowa rodzina Capellów, zniesiono 1782 r. uciążliwą służbę z urzędu, która była zastąpiła zniesioną już dawniej pańszczyznę.

Dążności reformacyjne, które się objawiły w XVIII. stul. w Polsce, są także w pewnej mierze dalszem podnoszeniem się fal europejskiej umysłowości, gwałtownie poruszonej ostrą i śmiałą krytyką myślicieli francuskich. Do prędszego poruszenia umysłów w Polsce przyczyniła się wielce ta okoliczność, że król Stanisław Leszczyński, pojmujący konieczną potrzebę reformy w ojczystym swym kraju, został władzcą Lotaryngii i księstwa Baru; a osiadłszy w Lunewilu, chętnie otaczał się młodzieżą polską, która w ten sposób wchodziła w bezpośrednie zetknięcie się ze społeczeństwem i literaturą francuską. Przytem sam król Stanisław nietylko pilnie śledził za rozwojem przekonań filozoficznych we Francyi, ale w jej piśmiennictwie stał się znany jako filozof dobroczynny (le philosophe bienfaisant); a nawet z jednym z koryfeuszów nowego kierunku, Janem Jakóbem Rousseau, z powodu jego rozprawy o początku i podstawach nierówności pomiędzy ludźmi polemizował, biorąc wiedzę w obronę, wykazując jej wpływ łagodzący na obyczaje i zaprzeczając temu, że cnota ma jakoby upadać tam, gdzie wzmaga się oświata. Dzieło jego polskie p. t. „Głos wolny wolność ubezpieczający“ wydane 1733 r. w Nancy, otwiera — rzec można — epokę dążeń reformacyjnych. Leszczyński zastanawia się w niem nad potrzebą wzmocnienia Rzeczypospolitej, widzi konieczność poprawy ustroju politycznego i wytyka wady w organizacyi społecznej. Zwłaszcza ten ostatni wzgląd zasługuje na uwagę, ponieważ jest głosem humanitarnych zasad, ogniskiem których stała się Francya.

Usiłowania reformacyjne objawiły się w Polsce głównie w trzech kierunkach: jedne dążyły do wzmocnienia ustroju politycznego, drugie miały na celu podniesienie oświaty, trzecie wreszcie zmierzały ku nadaniu pewnych praw mieszczanom i ku zniesieniu niewoli włościańskiej. O pierwszych dwóch kierunkach powiem tylko pobieżnie, zato zatrzymam się cokolwiek dłużej nad usiłowaniami reformy społecznej.

Familja Czartoryskich, związana na początku politycznie z Leszczyńskim, podjęła się przeprowadzenia reformy politycznej. Wprowadziła ją na te tory bogata córka Jędrzeja Morsztyna, Izabella Czartoryska, żona Kazimierza. Wychowanka społeczeństwa francuskiego, przenosiła na grunt ojczysty zwyczaje i przekonania salonów paryzkich. Ona pierwsza z kobiet polskich — powiada Rulhière — zaczęła czynnie wtrącać się do polityki. Pod jej to wpływem głównie sformowały się charaktery jej synów, Frydryka Michała, Augusta i Teodora, i jej córki, ambitnej Konstancyi, matki króla Stanisława Augusta. Myśl monarchiczna dworu wersalskiego, złagodzona humanitarnymi poglądami owoczesnych myślicieli, które odbijały się także w dziełach filozofa dobroczynnego, przewodniczyła czynnościom familii. Była ona zwolenniczką ograniczenia wszechwładzy szlachty przez podniesienie klas nieuprzywilejowanych. Teodor Kazimierz Czartoryski, biskup poznański, bardzo szczerze myślał o ulepszeniu bytu włościan, z jego to woli w 1742 r. Wawrzyniec Swiniarski, kustorz katedralny, ogłosił zniesienie poddaństwa we wsi Taczanowie (w pyzdrskim pow. kaliskiem wojew.) W ogóle familia dawała w tym względzie przykład postępowego zachowania się z ludnością wiejską. Wypada tu wspomnieć: Józefa Klemensa księcia na Korcu; Adama Kazimierza, jenerała ziem podolskich; oraz jego żonę, Izabellę, autorkę pierwszej historyi dla włościan, poczciwego „Pielgrzyma w Dobromilu“. Czartoryskim udało się nawet na sejmie konwokacyjnym po śmierci Augusta III. przeprowadzić ważne polityczne zmiany: Zniesiono władzę czterech pierwszych dygnitarstw, które były uważane przez możne rodziny niejako za swoje dziedzictwo i które były zupełnie niepodległe koronie; zaś na miejscu ich ustanowiono cztery ministerstwa: wojny, skarbu, sprawiedliwości i interesów zagranicznych*). Dawny feudalny ustrój rządu zamieniono na bardziej odpowiedni nowożytnym warunkom państwowym. „Kiedy królowie francuscy — powiada Rulhière — potrzebowali cztech wieków na obalenie wielkich i niezależnych prawie od władzy królewskiej urzędów, na poniżenie możnych rodzin, na osłabienie szlachty przez ograniczenie jej władzy nad poddanymi, na zniesienie osobnych przywilejów, przysługujących wielkim miastom, na zniweczenie odrębności prawnej w całych prowincyach, na ograniczenie swobody różnych sekt, na samowładne ustanowienie podatków, — w Polsce dokazano tego w sześciu tygodniach“. Sejm koronacyjny zatwierdził uchwały, zapadłe w bezkrólewiu; poszedł nawet dalej i zaprowadził cło generalne od towarów *na wszystkie stany*, czem torował drogę do równości podatkowej, zwłaszcza że na tym samym sejmie postanowił, ażeby podatek dla wszystkich prowincyi był jednakowy. Lecz dwory petersburgski i berliński, które wolały mieć Polskę nierządną i bezsilną, te wszystkie usiłowania reformacyjne udaremniały na sejmie 1766 r., znalazłszy poparcie w egoistycznych dążnościach magnatów i ciemnocie, ogarniającej większość szlachecką. Dopiero na nowo podjęto sprawę reform politycznych na sejmie czteroletnim.

(C. d. n)

*) „Pamiętnik polityczny i historyczny“, który propagował myśl zniesienia poddaństwa, w 1783 r. (T. II) umieścił artykuł p. t. „Uwolnienie chłopów od poddaństwa w krajach Durlach Baden i powody do tego“ i w 1784 (T. III) „Wdzięczność poddanych“ dla margrabiego Badeńskiego.

**) Panowie mogli odbierać grunta od włościan, nazywało się to „Legen“.

***) „Pamiętnik polityczny i historyczny“ (Warszawa 1785 r. T. II.) zawiera „dokładne opisanie buntu chłopskiego w Transylwanii.“

*) „Pamiętnik polityczny i historyczny“ (Warszawa 1784 r. T. III.) zawiera artykuł p. t. „Graff Bernstorf, minister duński czyli wzór panów, siebie i poddanych uszczęśliwić chcących“, str. 167-181.

*) Król Leszczyński w dziele swojem: „Głos wolny wolność ubezpieczający“ żarliwie zaleca te zmiany w rozdziale: „ Ministri Status“.

UCIECZKA WIĘŹNIA STANU.

przez J. S. S.

(Ciąg dalszy.)

O dwunastej furtka więzienia otwarła się i więźniowie, z początku Polacy, a potem pospolici zbrodniarze, po jednemu, wśród dwóch rzędów

żołnierzy z bagnetami w ręku, strzegących ich pilnie jak oka swego, dążyli do pomieszkania nadzorcy.

W mieszkaniu tem otwarta była tylko mała sionka i pokój, gdzie się sprzedawała wódka. Wszedłszy do sionki i przytuliwszy się do ściany tak, żeby nie być widzianym przez żołnierzy, Dąbrowski spuścił spodnicę, włożył czerwoną chustkę na głowę, w ten sposób jak to robią dziewczęta w Moskwie, oddał czapkę i płaszcz koledze, a zobaczywszy w kącie garnek z popiołem nachylił się, wziął go w ręce i poszedł ku wyjściu. Doszedłszy do łańcucha żołnierzy, rzekł słodkim głosem: „propusti służewyj“ i żołnierz będąc pewny, że to służąca nadzorcy, przepuścił go za linię. Dąbrowski powolnym krokiem szedł dopóty aż się skrył za przyległemi do więzienia domami, potem rzucił garnek i przyspieszył kroku. Na szczęście zoczył fiakra, którego wezwawszy kazał zawieść siebie na rogatkę przeciwległą tej stronie, w której było więzienie.

Ucieczka była dokonana około godziny pierwszej po południu. W tym miesiącu w Moskwie słońce zachodzi po piątej wieczorem. Obawiając się, żeby nie być zaaresztowanym w mieście, które znał bardzo mało, zbieg postanowił jeździć nieustannie aż do piątej, zmieniając ciągle fiakrów, żeby zmylić poszukiwania, gdyby policya wpadła na ślad jego ucieczki. Jeżdżąc tak po mieście zmęczony i znużony niepewnością, strachem i nawałem różnych uczuć, które się tłoczyły do piersi jego, doczekał się zmroku. Wtedy to kupiwszy kilka bułeczek dla zaspokojenia głodu, udał się według adresu, udzielonego mu przez sąsiada w więzieniu, do wskazanej biblioteki.

Przy wejściu do domu zapytał stróża, czy tu się znajduje bibliotekarka p. N., stróż słysząc głos męzki, który zmienić zapomniał Dąbrowski, ze zdumieniem popatrzał na niego i mierząc od stóp do głowy zapytał:

— Czy ty jesteś mężczyzna czy kobieta?

Przeraził się niezmiernie Dąbrowski tem zapytaniem, które go spotkało przy zetknięciu z pierwszym człowiekiem po ucieczce; postrzegł nieostrożność swoję, lecz że nie tracił nigdy przytomności i wiedział czym zaimponować Moskalowi, zmieniwszy głos obrzucił go według zwyczaju ludowego całym zapasem przekleństw i wymyślań za takie ubliżenie wyrządzone uczciwej dziewczynie.

— Nie gniewaj się, sudarynia, na mnie, cóż ja winien, że u ciebie głos taki gruby. Idź po tych schodach, sudarynia, na pierwsze piętro, drzwi na prawo, tam znajdziesz panią N.

Według wskazówki Dąbrowski wbiegł na schody, a potem wszedł do biblioteki. Pani N. już ubrana miała wychodzić do domu.

— Przychodzę tu prosić pani o pożyczenie drugiego tomu historyi rosyjskiej Karamzyna.

— Nie mamy tej historyi w bibliotece, odrzekła p. N., zabierając się do wyjścia. Widząc z odpowiedzi p. N., że nie jest uprzedzoną o wizycie, Dąbrowski podstąpił do niej i rzekł: — Pani, ja nie jestem dziewczyną, jestem Jarosław Dąbrowski, skazany na śmierć, ułaskawiony do ciężkich robót na 20 lat, a dziś zbiegły z ostrogu; przychodzę do pani z prośbą o pomoc i schronienie.

Przerażona p. N. odstąpiła od niego i rzekła: „Panie, jestem pod dozorem policyi i nie mogę dać panu schronienia, zgubiła bym pana i siebie.“

— Więc daj mi pani list do jakiego znajomego pani, któryby mi dopomógł, a nie zdradził, rzekł Dąbrowski.

Pani N. z początku wymawiała się, że nie zna nikogo, tarła czoło, bladła i rumieniła się, nareszcie wzięła papier, napisała kilka słów i rzekła do Dąbrowskiego: Idź pan i oddaj kartkę, może krewny mój dopomoże panu.

Z otrzymaną kartką zbieg udał się natychmiast według adresu.

Wszedłszy do pokoju znalazł mężczyznę jeszcze młodego, w ruchach którego wyczytał niepokój i oczekiwanie. Podaną kartkę czytał dość długo, nareszcie wyrzekł: „List ten od mojej krewnej, ale nic nie rozumiem o czem ona tu pisze.“

— Ja panu wyjaśnię. Jestem Jarosław Dąbrowski, zbiegły dziś z więzienia; proszę u pana gościnności i opieki.

Jak piorunem tknięty upadł na krzesło stojące około niego. Potem po długiem milczeniu i namyśle rzekł: Panie mam w domu żonę bardzo niebezpiecznie chorą. Nie mógłbym ukryć przed nią, kto jest naszym gościem, bo nie jesteśmy bogaci i nie mamy wielkiego pomieszkania, a przy tem znane jej są wszystkie stosunki moje i wszyscy znajomi. Gdyby zaś do choroby jej przyłączyła się obawa o męża i dzieci, zabiłbym ją niechybnie. Muszę więc odmówić panu gościnności, lecz nie zostawię pana bez opieki, chodź pan ze mną, zaprowadzę cię do jednego z krewnych moich, studenta, może on ci dopomoże.

Moskwa jest miastem czysto tatarskiem co do budowy swojej; mnóstwo w niej placów, ogrodów i rynków, a z tego powodu rozległość jej jest niezmiernie wielka, Dąbrowski jednak ze swoim towarzyszem jechać nie mogli z obawy obudzenia podejrzenia w fiakrze, gdyby przyzwoicie ubrany mężczyzna siadł do powozu razem ze służącą. Przyszli więc już dość późno do mieszkania studenta, ale szczęśliwie, bo właściciel jego już był w progu i miał wyjść do miasta. Dowiedziawszy się o co rzecz chodzi, był bardzo zakłopotany, bo miał gości u siebie, matkę i siostrę, które przybyły z rana tego dnia, i którym ustąpił mieszkanie swoje; właśnie w tej chwili miał wychodzić dla odnalezienia noclegu dla siebie u kogobądź z kolegów.

— Jednak biorę pana w opiekę, rzekł do Dąbrowskiego; pójdźmy razem; muszę odszukać miejsce noclegu dla siebie i dla pana.

— Nasamprzód jednak, rzekł mu Dąbrowski, daj mi pan jakie ubranie i czapkę, bo chodzić w spodnicy niedogodnie i niebezpiecznie.

Student wszedł do mieszkania i wkrótce wyniósł z tamtąd palto i kapelusz. Pożegnawszy pierwszego przewodnika swego, a zrzuciwszy spodnicę i chustkę na bulwarze, młodzi ludzie poszli szukać noclegu. Lecz szczęście im nie służyło. Błądzili po całej Moskwie do wieczora i nikogo w domu nie zastali.

— Jak pan sądzisz, rzekł student, czy już spostrzeżono ucieczkę pańską w ostrogu.

— Wątpię, bo raz tylko dziennie odczytują spisy więźniów i zdaje mi się, że nie spostrzegą wcześniej jak jutro o godzinie 8 z rana przy apelu.

— Wybornie więc. Do żadnego z hotelów zajść nie możemy, bo wszędzie pytają o papiery, lecz jest tu traktyernia Rzym, w której zbierają się włóczęgi z całej stolicy i noc przepędzają za tanie pieniądze. Zajdziemy tam; nikt nas nie spyta o papiery, a jutro z rana wyjedzie matka i siostra z mieszkania mego, wtedy przyjdziesz pan do mnie. W Rzymie weźmiemy numer, każemy dać sobie ponczu i przedrzemiemy do godziny szóstej z rana, a potem wyruszymy dalej. Gdyby nas schwytano, pan powiesz, że mnie nie znasz, żeś mnie spotkał na drodze i prosił o pokazanie, gdzie można tanio przenocować, a gdym go zaprowadził do Rzymu, z grzeczności kazałeś podać ponczu, nad którym zdrzemnęliśmy się trochę. Radzę jednak żebyś pan nie wiele mówił z posługą, bo chociaż pan mówisz dobrze po moskiewsku, jednak z akcentu czuć, że nie jesteś rodowitym Moskalem.

Umówiwszy się o dalsze postępowanie, udali się do tej znanej złodziejskiej traktyerni i tam nad ponczem przepędzili noc całą. Nad ranem zaś przeszli do pomieszkania studenta, z którego matka i siostra wyjechały już w dalszą podróż.

Tym czasem w ostrogu nadzorca wszedł z rana do sali zajętej przez więźniów ze spisem w ręku, wzywając do apelu. Jako skazany na największą ilość lat ciężkich robót, zbieg był w liście na pierwszem miejscu.

— Jarosław Dąbrowski! przeczytał nadzorca. Nikt nie odpowiedział.

— Jarosław Dąbrowski, powtórzył znowu. Milczenie.

— Gdzie jest Dąbrowski; zawołał przestraszony, ale nikt nie mógł mu dać żadnej odpowiedzi. Zrobił się alarm; rozesłano po wszystkich kątach ostrogu szukać więźnia, ale nigdzie go nie znaleziono. Przelękły nadzorca wysłał natychmiast raport do ober policmajstra i Jenerał gubernatora o ucieczce więźnia. Natychmiast polecono policyi przetrząść wszystkie hotele i traktyernie, a szczególnie traktyernię Rzym i wszystkich podejrzanych, wszystkich nie posiadających żadnych dokumentów, aresztować. Przeszło 200 ludzi, po większej części złodziei i włóczęgów przyprowadzono do policyi, lecz między nimi zbiega nie odszukano. Zatelegrafowano do Petersburga i wzdłuż dróg żelaznych idących z Moskwy, dając rysopis zbiega i polecając baczne śledzenie za wszystkimi przejeżdżającymi. Zbieg znikł jak kamfora.

W parę dni potem Dąbrowski wykwintnie ubrany odszukał komisarza rządu Narodowego na Moskwę i przy pomocy jego dostał papiery jakiegoś dymisionowanego porucznika, piękne futro i pierścień brylantowy. Dąbrowski znając doskonale Moskali, wiedział że dla nich powierzchowność i bogactwo jest najlepszym atestatem, starał się więc ubrać jak elegant i człowiek majętny. Potem najął pomieszkanie u jakiegoś popa, żeby być bezpieczniejszym od rewizyj policyjnych, bardzo częstych w tym czasie i osiadł tam na czas dłuższy, naprzód dla tego żeby przeczekać czas najgorętszych poszukiwań, następnie żeby się dowiedzieć o miejscu pobytu żony, nareszcie dla porozumienia się z członkami tajemnego towarzystwa „Ziemla i wola“, które było zupełnie zdezorganizowane przez Rząd, wskutek aresztowania najczynniejszych ludzi.

Wszelkie jednak starania aby się wywiedzieć, gdzie znajduje się żona, nie dopięły celu. Za to kilkakrotnie będąc na zebraniach rewolucyjnej partyi moskiewskiej, wlewał w nią ducha, łączył i wiązał to, co się rozchwiało ze strachu przed rządowem prześladowaniem. (C. d. n.)

O twórczości poetyckiej

przez

Juliana Ochorowicza.

(*Dokończenie*).

Ten ostatni wiersz naprowadza nas na myśl ostatnią i zarazem bardzo smutną właściwość natchnienia. Twórczość poetycka będąca życiem dla duszy poety, bywa często śmiertelnym wrogiem jego ciała. Wytężona praca fantazyi, w której „rymu podpory podłożone są sercem," w której artysta czynny jest nie piórem, pendzlem lub dłutem, ale całą siłą wrażliwej swej i miękkiej natury, całem życiem, całą duszą—twórczość taka, zwłaszcza jeśli jej towarzyszą zbyt częste chwile szału, chwile, w których poeta huraganowi uczuć sprzecznych, walce idei, marzeń i rzeczywistości, pozwala przejść przez swoje serce, kiedy w duszę swą przejmuje „krzyk i blask i mieczów rżnięcie," „kolory, jęki i błyskawice" to pamięć takich przejść, i przelanie ich wierne na papier

Niweczy ciało gorzej niźli praca,
Niż nędza, która wnętrzności wyjada,
Niż przyjaźń, która zdradą się odpłaca.

Tu już nie obojętne idee, ale uczucia i namiętności wchodzą w grę i cały organizm przetrawiają, szarpią, rozstrajają i wycieńczają, równocześnie z nadmierną twórczością:

Im człowiek silniej wznieca ducha płomień,
Tem się w nim prędzej spali drzewo życia!

Wszystko musi być zrównoważone na świecie. Najwyższa zadowolenia najdrożej też opłacać trzeba. Artyści są to najrozrzutniejsi ludzie pod słońcem; choćby najwięcej wzięli, jeszcze więcej dają — a to „więcej" złożone z najlepszych sił ciała i duszy, z promieni ideału i krwi serdecznej, jeśli ożywia tłumy — jakże często zabija jednostki!*)

Powiedz o Bajronie,
Siwy młodzieńcze, czyli pieśń odmładza?

A przecież ty tchnąłeś młode życie w cały zastęp reformatorów, w cały jeden okres poezyi!

Krasiński zemdlał pisząc jeden ustęp *Przedświtu* — a ileż to razy gorączkowa praca artysty przyprawia go o powolne konanie, kosztując go drożej „niż płuca!"

Dziś... w epoce gorączkowego postępu, w epoce pary, elektryczności i dynamitu, *jakość* twórczości nie tyle nas zużywa, co *ilość*. Poetę wycieńcza nie nadmiar fantazyi, ale nadmiar produkcyi. Jeden poemat równoważą setki artykułów dziennikarskich. Twórczość rozbiła się na fejletony, na powieści pisane z numeru na numer, na artykuły wstępne, na wiersze okolicznościowe, na pamflety polityczne. *Poeta*, którym by nie był *dziennikarzem*, którego natchnienie niebyłoby zawarowane ilością wierszy i stałą pensyą miesięczną — należy albo do małoletnich przestępców, *popełniających* wiersze, albo do inwalidów poezyi. Ci zaś, jeśli nie otwierają warsztatów poetyckich, to dlatego tylko, że albo nikt ich wyrobu kupować nie chce, albo że go sprzedawać nie potrzebują. Inni *musieli* nadać swemu talentowi prężność pary, szybkość elektryczności i zapalność dynamitu. I oto w jaki sposób nasza literatura stała się naprzód z książkowej peryodyczną, a następnie olbrzymią ulepszoną fabryką obić papierowych, w których szablony artystyczne zastępują natchnienie, a twórczość mierzy się na łokcie.

Cóż robić! skoro wszystko musi iść prędzej, byle prędzej! Dawniej życie było krótkiem, a sztuka długą, dziś i życie i sztuka są krótsze!

Cała ta nowsza faza twórczości poetyckiej, do której dodatnich cech należy przedewszystkiem ogromne, nieznane przedtem wyrobienie się *formy* — zawdzięcza swe dodatnie zarówno jak i ujemne właściwości przewadze wprawy i rozwagi nad natchnieniem. Musimy więc jeszcze i te czynniki uwzględnić.

Wprawa jest dla poety tem czem maszyna do liczenia dla rachmistrza. Zastępuje ona samowiedne mozolne dochodzenie — machinalnemi szematami zwrotów, rymów i rytmu. Powstaje zaś z oczytania i ćwiczenia. Oczytanie działa w ten sposób, że chociażby kto nie miał żadnej pamięci do wierszy, pozostanie mu w głowie ich forma, ich szkielet deklamacyjny, z pauzami, z podniesieniami i zniżeniami głosu, z przekładaniami i różnemi modulacyami pytań, powątpiewań, groźb, rzewności, zapału itp. Na tem tle szematycznem rysują się nowe wzory. Lecz zazwyczaj oprócz takiego podścieliska, pozostaje po przeczytanych utworach mnóstwo zwrotów wyrazowych niezbędnych, odgrywających tu rolę *recitativ'ów* w operze albo znaków + — × : itp. w przykładzie arytmetycznym. Zwroty te jako najczęściej powtarzające się, machinalnie zostają w pamięci i one to sprawiają, że ogólny ton poezyi jest odmiennym niż prozy, chociażby ta poezya była mierną. Tu należą takie wyrażenia jak: „sen życia," „kwiat marzeń," „jutrzenka nadziei," „złamane skrzydła fantazyi," „serca rozbite lub pękające," „gwiazdy przewodnie," „ciernie i głogi," „zimne i czarne dusze," „lutnie strzaskane," „śnieg lica, perły ząbków, ust korale," wszystkie słoneczne, księżycowe, strumykowe i słowikowe porównania, które w poezyi są tłem pospolitem — a od którego to tła w działach talentu odbijają jasno i wyraziście oryginalniejsze, śmielsze i świeższe zwroty, będące dziełem natchnienia czyli wyjątkowego polotu fantazyi. Gdyby nie machinalna znajomość tego abecadła poetyckiego, autor zużywałby napróżno zbyt wiele sił duchowych, których mu wprawa oszczędza. Jeszcze widoczniej stosuje się to do rymów. Gdyby nie machinalne oczytanie się, poeta musiałby potrzebować słownika rymów, a pewno nie bardzo osobliwie wyglądałyby wiersze w ten sposób świadomie dobierane. Tymczasem faktem jest, że rzadko kiedy poeta ma świadomość rymów, których użył i musiałby dopiero umyślnie sobie w tym celu wiersz przypominać, ażeby powiedzieć czy do kochanka rymował wianek czy poranek.

Tradycya poetycka, którą przyswajamy sobie przez oczytanie, przenosi nadto oprócz form i mnóstwo oklepanej, a mimo to wiecznie świeżej treści, tematów, obrazów i sytuacyj, w których postęp jest tylko do pewnego stopnia możliwy.

„Nie tworzę prawie nic, lecz przypominam"

mówi Słowacki — i to pewna, że jakkolwiek panowie poeci często skarżą się na słabą pamięć, jednak $^9/_{10}$ swojej produkcyi jej zawdzięczają.

Najwidoczniej wprawa przejawia się w wierszach, które się bardzo gładko, płynnie i szybko czytają. Te, które zmuszają nas do zatrzymywania się, do rozpatrywania się w szczegółach, zwykle powstawały kosztem większej pracy lub bujniejszego natchnienia. Ale myliłby się, ktoby sądził, że wszystkie gładkie wiersze gładko powstały. Nie jeden z nich sto razy był przerabiany i poprawiany — i jest to już czysto indywidualną właściwością autora, czy pisze łatwo i bez poprawek, czy przeciwnie. O wartości utworu nic to jeszcze nie stanowi*); możnaby tylko powiedzieć, że poezye zbyt łatwo przychodzące ich autorom, jak to mówią, na zawołanie, nigdy nie posiadają głębszej artystycznej wartości.

Ćwiczenie, przychodzące w pomoc oczytaniu autora, sprawia, że ten w dalszych swych pracach, odrazu umie dobrać właściwą miarę, że lepiej panuje nad treścią i jej układem, że w najmniejszym nawet utworze lirycznym jest początek, środek i koniec, (nie zaś jak się to trafia wszystkim początkującym autorom, że każda strofka zaczyna rzecz *ab ovo* i wszystkie mogłyby być poprzestawiane dowolnie), dalej, że nie porwie się na temat niewdzięczny, lub niewłaściwy, na którym się już sparzył i wreszcie, że niepostawi na końcu wiersza wyrazu, dla któregorym nie istnieje. Wszystko to są drobiazgi, których jednak i najgenialniejszy poeta nie uniknie — bez ćwiczenia.

Ćwiczeniu towarzyszyć musi rozwaga — muza bardzo prozaicznej natury, i tak dalece nieumiejąca się pogodzić z dawnemi muzami Helikonu, że najczęściej albo je swoją obecnością odstrasza, albo sama przed niemi ucieka. W pierwszym wypadku powstaje proza rymowana, podobna do budy drewnianej z pretensyą architektonicznych wdzięków; w drugim — eteryczne, niebiańskie albo szatańskie labirynty, którym brakuje nitki Aryadny dla błądzącego czytelnika. Poezya bez sensu i sens bez poezyi — to najpospolitsze zjawiska w epokach bezsilności poetyckiej. Prawdziwa, swobodna, zdrowa twórczość jednoczy dwa te pierwiastki. Ale zjednoczenie takie musi być naturalnem, nie sztucznem — tu niepowinna występować osobno fantazya jako fantazya — a rozum jako rozum, szukając dopiero jakiegoś kompromisu — lecz sama fantazya będąca już z natury swej połączeniem myśli i uczucia, winna działać zgodnie z tą swoją naturą, niedając przewagi ani roztkliwionym uczuciom, ani tem mniej abstrakcyjnym myślom. Rozwaga zaś właściwa może odgrywać tylko rolę organizatora, gdy chodzi o ułożenie planu przed pisaniem, i rolę cenzora, gdy chodzi o poprawienie wykonania po napisaniu. W samym procesie twórczości obca jej charakterem rozwaga byłaby tylko przeszkodą — lecz fantazya sama będzie rozważną, jeśli jest zdrową.

Jedynym rodzajem twórczości, pospolicie a błędnie uważanym za dzieło natchnienia, rodzajem, w którym rozwaga i wprawa samoistnie występują — jest improwizacya na zadany temat. Już z tego, cośmy o mimowolności natchnienia mówili, wypływa, że ono nie da się sprowadzić na zawołanie, i że improwizacye tego rodzaju zależą tylko od wielkiej erudycyi, od wielkiej wprawy i od daru szybkiej rozwagi. Improwizator musi w jednej chwili przebiedz myślą zakres tematu, rozstawić jego główne punkta, wyszukać całą jego treść, rozważyć na

*) Porównaj ustęp o artystach dramatycznych w „Dzienniku Psychologa" 241.

*) Ob. z „Dziennika Psychologa," str. 231, a także 213, 227 i nast.

chłodno wszystkie jej kombinacye, ułożyć zestawienia kulminacyjne i resztę zostawić wprawie — nie natchnieniu. Ztąd też wszystkie nie pospolite improwizacye noszą na sobie charakter rozumowania, filozofowania; są to syllogizmy okute w rymy i odziane wzorzystym płaszczem poezyi. Mogą zdumiewać słuchacza tak jak każdy mechanizm artystyczny, ale za serce nie chwycą. Jeśli zaś w takich razach możliwem bywa omdlenie, podobne do tego jakie towarzyszy samorodnej pracy natchnienia, to będzie ono tylko dowodem zmęczenia umysłu wytężoną i wymuszoną pracą rozumu i pamięci, która nie ma w sobie nic samoistnie poetyckiego.

Rozwaga przejawiająca się już nie w formie, ale w treści utworu, występuje jako *tendencya*. Nie będzie nam trudno porozumieć się co do znaczenia tej ostatniej: Tendencya o ile sama przez się z uczuć poety wchodzi do utworu i o ile sama przez się z niego wypływa, dodaje mu siły i życia, o ile zaś jest rozumowo narzuconą utworowi i rozumowo, nie zaś obrazowo przelewa się w umysł czytelnika, staje się skrzywieniem istoty poezyi i szkodzi jej więcej niż przewaga uczucia. *Poezya dydaktyczna* jest i pozostanie wstrętnym mięszańcem, równie bezpłodnym jak wszelkie próbki pogodzenia wiary z nauką i poezyi z filozofią. Dwie te dziedziny muszą pozostać niezależne, bo jedna kończy się tam, gdzie się druga zaczyna. Za czasów Ksenofanesa, Parmenidesa, Lukrecyusza pisało się poematy filozoficzne o naturze — i było dobrze, bo wtedy rozdział tych dziedzin nie istniał jeszcze; ale dziś kiedy poeta musi tak jak dawniej wybiegać duchem po za światy — a kiedy przeciwnie myślicielowi nie wolno już bujać w krainie marzeń — budować na uczuciach i zapomocą ideałów dowodzić rzeczywistości — dwie te sfery muszą pozostać obok siebie, dopełniając się i oddziaływając na siebie, ale nie mieszając się. Na tendencyą w rodzaju Tyrteusza, który zapala uczucia ziomków — zgoda; zgoda nawet na tendencyą Verne'a, który na lotnych skrzydłach fantazyi przemyca prawdy wiedzy; ale nie na tendencyą Delille'a z jego rymowanym wykładem ogrodownictwa! Poezya ulega i powinna ulegać ogólnemu charakterowi oświaty w danej epoce. Dziś nie będzie ona mistyczną i rycerską w znaczeniu średniowiecznem, podobnie jak wówczas nie mogła być socyalną i demokratyczną w dzisiejszem tych słów znaczeniu. Ale nie idzie zatem, ażeby hipotezy, a nawet teorye naukowe miały być przejmowane przez poetów. Dla poety nawet system Kopernika może sobie nie istnieć. Pozwólmy mu mieć swoją teoryą o tem co robi „słonko, dnia oko pięknego," pozwólmy mu nawet wierzyć, że: „Atlas gwiazdzistemu dał wsparcie sklepieniu," skoro na takie tematy Szymonowicz napisze nam wdzięczną sielankę, a Kochanowski da wspaniałą ocenę zasług hetmana Tarnowskiego, na którego ramieniu cały kraj się wspierał.

Jeśli bowiem poezya ma działać podniośle na serca i przez serca, to nie może ona przywdziewać togi doktorskiej i biretu — musi się zwracać ku słońcu i ku rozległym krajobrazom, a unikać dusznej atmosfery laboratoryów i pyłu ksiąg uczonych. Nawet taki poeta jak Wiktor Hugo, który pory roku dzieli według spojrzeń Boga, przestaje nas zachwycać, gdy swoich pracowników morza obładuje kilku rozdziałami pergaminowej erudycyi i przyciśnie naszę fantazyą tak, że radaby co prędzej znowu wydobyć się na szczyt skały i odetchnąwszy pełną piersią, przyglądać się „namiętnościom morza."

Jeżeli erudycya i filozofia mogą być przydatne *poecie* — to wcale są niepotrzebne *poezyi*. Jedna przydusza ją gruzami pamięci, druga próżnią abstrakcyi. Rozpatrzmy te utwory poetyczne, które w rozwoju naszym największy wpływ wywarły, najwięcej były popularne, a przekonamy się, że znajdziemy w nich raczej przewagę uczucia i fantazyi, aniżeli erudycyi i refleksyi.

Utwory jednak, które mają być popularne w tłumach, nie w kołach wybranych, muszą ogólnym swym poziomem zniżać się nieco ku duchowemu nastrojowi mas, nietylko w kierunku erudycyi i refleksyi, ale nawet w kierunku uczuć i fantazyi. Potrzebną im jest *prostota kompozycyi* taka, jaką widzimy w „Maryi" Malczewskiego, obok *żywości zmysłowego kolorytu*, jaką zdradzają powieści w rodzaju „Rinaldo-Rinaldiniego" albo „Klechd" Wójcickiego; muszą one odtwarzać *uczucia ogólno ludzkie*, wyraziste, wszystkim znane, takie jak w poezyach „Powrót z Warszawy na wieś" lub piosnce miłośnej „Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły;" muszą następnie *zawierać pierwiastki żywcem brane z otoczenia*, jak to ma miejsce w poezyach mazowieckich Lenartowicza, np. w tak popularnym a zawsze pięknym obrazku „Wiecznie to samo" w lotnych ukraińskich piosnkach Zaleskiego, w trzeźwych a serdecznych szlacheckich gawędach Syrokomli, w rzewnych a tak prawdziwych „Obrazach litewskich" Chodźki i wreszcie w posągowo narodowej na wskróś realistycznej epopei: „Pan Tadeusz;" muszą one odpowiadać moralnemu nastrojowi mas, mianowicie w kierunku religijnym, jak np. w owym tak znanym hymnie Kochanowskiego: „Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary," albo w głośniejszych jeszcze pieśniach Karpińskiego: „Kiedy ranne wstają zorze" i „Wszystkie nasze dzienne sprawy." Nareszcie w ogólnym charakterze utworów bardzo popularnych widzimy, że wszystkie one pod względem przewodnich swych idei wznoszą się nieco nad życie praktyczne, nie wiele od niego odbiegając. I dla tego to drugorzędni poeci jako pośrednicy pomiędzy gieniuszami a tłumem, tak bezzasadnie przez niektórych krytyków poniżani, oddziaływają na ogół więcej i szerzej aniżeli pierwszorzędni, chociaż od tych właściwie światło i ciepło pochodzi. Krasiński nigdy nie wywrze takiego wpływu jak Syrokomla — a Słowacki nigdy nie będzie tak popularny jak autor Mohorta. Tylko geniusz Mickiewicza łączący prostotę z wzniosłością może być dla wszystkich przystępnym, chociaż i on zawsze znanym będzie i rozumianym raczej jako autor „Tadeusza" niż „Dziadów." Wpływ bowiem i poczytność poetów, polegają nie na ich odrębności od mas, lecz właśnie na tem co mają wspólnego, *z dodatkiem tego co jest wyższe*:

Tworzyć na ziemskim świecie czarodziejskie światy,
Siać na gruzach przeszłości nieśmiertelne kwiaty,
Ukryć mądrość w igraszce, wzniosłość wśród prostoty,
Święcić czyny rycerskie i domowe cnoty —
Znać tajniki serc ludzkich, swe umieć otwierać,
Z dzieł przodków dla potomków wzór i chwałę zbierać —
(Brodziński.)

oto zadanie poezyi.

Lecz jeśli poezya ma za cel wszystko co lepsze od życia rzeczywistego, jeśli nie ma być sługą rozumu, to jednak wcale jeszcze nie wypływa z tego, ażeby poetyckie godła romantyzmu: „miej serce i patrzaj w serce," „czucie i wiara" przed „mędrca szkiełkiem i okiem," „tyle szczęścia, co człek prześni," ażeby „Romantyczność" będąca poprostu apologią choroby umysłowej, miała nam służyć za sztandar i w filozofii i w naukach i w polityce.

Propaganda romantyzmu w tym duchu jest niedorzecznością. Już on spełnił swoje zadanie — i pokój mu. Orzeźwił serca, rozpłomienił wiarę w ideały—i tem się zasłużył; rozmarzył umysły, zaślepił wzrok rozumu dwom następnym pokoleniom, a przybierając na się wstrętną postać mistycyzmu, złamał skrzydła dwom największym naszym geniuszom, (też same skrzydła, które pierwej do lotu podbijał!) —i tem się zużył. Dziś potrzebna nam raczej trzeźwa, pozytywna wiedza, bo przez nią tylko możemy odzyskać dawne wśród oświeconych krajów stanowisko. Jak niegdyś romantyzm był postępową reakcyą przeciw klasycyzmowi, tak dzisiaj jest nią przeciw romantyzmowi pozytywizm—tylko nie w poezyi — lecz w *nauce*. Pozytywizm w poezyi byłby równą niedorzecznością jak romantyzm w polityce. Zostawmy więc co poetyckiego poezyi, a co filozoficznego filozofii. Poezya musi być idealną, polityka praktyczną, a filozofia pozytywną. Nie twórzmy gwałtem syntezy, tam gdzie ona byłaby zabójstwem postępu; a przedewszystkiem, niedajmy się złudzić tym mniemanym strażnikom ideału, którzy nam grożą, że jeśli się nie wyprzemy wszystkich nowszych prądów naukowych i pozytywnych teoryj — to zatracimy ideały, a uczucia zamrą w nas na zawsze...

W nas, w n a s mają zamrzeć uczucia? W nas, którzyśmy uczuciem, i niestety tylko uczuciem wszystkie inne narody przerośli?!

I cóż nam zalecają w zamian za jasne i pewne światło niepodległej wiedzy? Oto całkiem nowy, pstrokaty sztandar, uszyty z aktów inkwizycyi, z wyblakłych strzępków herbowych i... z Teki Stańczyka.

To za mało dla nas, panowie klerykalni romantycy! Taki sztandar grobem cuchnie, a nam trzeba

z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe —
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.
Wy nie cofniecie życia fal,
Nic skargi nie pomogą:
Bezsilne gniewy! Próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą!...
(El-y.)

Koniec.

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODNICZYCH

Własności barw i światła.

W naukach przyrodniczych, a w szczególności w ich zastosowaniach jak np. w medycynie, pojawiają się od czasu do czasu dziwaczne teorye, które lotem błyskawicy roznoszą się po całym świecie, i mają tę własność, że budzą wiarę wszędzie. Mieliśmy już bez liku uniwersalnych środków medycznych, które zaginęły dziś w niepamięci. Wierzono czas jakiś w zdolność leczenia u jasnowidzących i medyów magnetycznych; w ostatnich czasach namnożyły się nadzwyczajnie, wskutek świątobliwego kolportażu, cudowne źródła, teraz przyszła kolej na światło barwne. Co parę miesięcy pojawiają się w dziennikach wzmianki o coraz nowych odkryciach w tym kierunku. Waryaci wystawieni na działanie tylko błęki-

tnego lub w niektórych wypadkach czerwonego itp. światła, mają po dniach kilku odzyskiwać zdrowie; ludzie i zwierzęta przechowywani w pokojach, w których szyby są ze szkła niebieskiego, wyrastają do ogromnych rozmiarów i nabierają szybko tuszy, rośliny utrzymywane w cieplarniach o błękitnych szybach przyjmują kształty kolosalne i bujność podzwrotnikową, słowem, trzeba tylko urządzić tak mieszkanie, żeby szyby w oknach były niebieskie, a można być pewnym zdrowia i lat długich!

W krainie humbugu, w Ameryce, ta mania szkła błękitnego doszła do niezwykłych rozmiarów. Kilku szarlatanów potrafiło tak zainteresować i poruszyć publiczność nowego świata, że fabryki wyrabiające błękitne szkło kobaltowe, porobiły w kilku miesiącach majątki, a idąc po ulicach miast często bardzo spotkać tam można szyby błękitne i błękitne firanki w oknach.

Przekonanie, że przepuszczając światło przez przezroczyste i barwne materye, lub odbijając je od barwnych powierzchni, możemy mu dodać jakichś własności, jest całkiem błędne i oparte na najzupełniejszej nieznajomości istoty światła. Już Newton dowiódł to doświadczalnie, a po nim inni stwierdzili niezliczonemi doświadczeniami, że białe światło, takie jak te, które od słońca do nas przychodzi, zawiera w sobie wszystkie barwne promienie, równie cieplikowe jak też i chemicznie działające, i że te wszystkie promienie mogą być oddzielone od siebie, czyli że światło białe może być rozebrane za pomocą przepuszczenia przez pryzmat przezroczysty.

Dla czego światło białe rozszczepia się na barwne promienie? Pytanie to rozwiązanem zostało dokładnie dopiero w czasach ostatnich, kiedy przyjęto wibracyjną teoryę światła, zaczęto je uważać jako rodzaj ruchu, rodzaj drgania cząstek eteru. Według tej teoryi drgania stosunkowo powolne przejawiają się jako ciepło; jeżeli ich ilość na sekundę czasu wynosi ogromną cyfrę 450 bilionów, to przejawiają się one jako światło czerwone. 500 bilionów drgań daje światło oranżowe, 550 żółte, i tak dalej otrzymujemy zwiększając ilość drgań wszystkie barwy tęczowe po kolei aż do barwy fioletowej, której odpowiada około 850 bilionów. Jeżeli te drgania powtarzają się częściej, to oko ludzkie nie widzi już żadnej barwy, lecz dowodem ich istnienia są sprowadzone przez nie zmiany chemiczne. Drgania nie przewyższające 450 bilionów, przejawiają się jako ciepło.

Jeśli światło przechodzi przez ciało przezroczyste, to się opóźnia w biegu, i to opóźnienie więcej działa na szybsze drgania niż na te, które są wolniejsze; w pewnych warunkach, znanych powszechnie, ciała takie powodują zboczenie światła z drogi po której biegło i to w ten sposób, że promienie o szybszem drganiu odchylają się więcej niż o wolniejszem. Białe światło, przepuszczone przez pryzmat, rozszczepia się na wszystkie promienie barwne w ten sposób że promienie cieplikowe i czerwone są najmniej odchylone, a fioletowe i chemiczne niewidzialne najbardziej. Otrzymujemy w ten sposób widmo barwne, którego szczegółowe badanie pozwala nam nawet poznać naturę ciał, od których ono pochodzi. Jest to zasada rozbiorów widmowych, którym nauka chemii i astronomii tyle postępów w latach ostatnich zawdzięcza.

Przedmioty barwne dlatego się nam wydają barwnymi, że z promieni słonecznych białych, którymi są oświecone, a które wszystkie barwy w sobie zawierają, pochłaniają niektóre, a odbijają te, które ich barwę stanowią. Szkło błękitne naprzykład, przepuszcza tylko błękitne promienie a inne pochłania w przebiegu. Z tego wypływa, że jeżeli jakikolwiek przedmiot barwny, n. p. zielony, oświecimy światłem niezawierającem barwy zielonej, to wyda się on nam czarnym lub szarym. Jeżeli różnobarwne przedmioty oświecimy światłem jednokolorowem n. p. żółtem, to wtedy tylko żółte przedmioty będą miały barwę; inne będą czarne lub szare. Łatwo to bardzo stwierdzić doświadczalnie dosypawszy do lampki spirytusowej trochę soli; tworzy się wtedy płomień żółty i tylko żółte przedmioty w ich barwie naturalnej widzieć możemy.

Płomień świecy lub lampy zwykłej nie daje czystej barwy białej i mało w nim promieni błękitnych, a natomiast wiele czerwonych, pomarańczowych i żółtych; dlatego też trudno przy świetle świec i lamp odróżnić kolor jasno niebieski od zielonego a ciemno błękitny wydaje się czarnym.

Barwy, które w życiu codziennem spotykamy, i które za pojedyńcze, nie złożone uważamy, nie są zwykle takiemi i można je rozłożyć na składniki.. Tylko te barwy są pojedyńcze, które otrzymujemy za pomocą rozszczepienia światła w pryzmacie, to jest barwy widmowe.

Błękitne szkło kobaltowe, którego sławę leczniczą roztrąbiono na wszystkie strony, ma odcień fioletowy. Otóż ponieważ fioletowe promienie widma mają z widzialnych najsilniejsze działanie chemiczne, więc powiadano, że wielka ilość tych promieni działa silnie na organizm ludzki; lecz bliższe badanie widmowe okazało że odcień fioletowy tego szkła pochodzi nie od fioletowych promieni widma, lecz od przymieszki czerwonych, które mają głównie własności cieplikowe. Więc światło, przepuszczone przez takie szkło, daleko słabiej działa chemicznie, niż zwykłe światło słoneczne, nie pozbawione swych chemicznych promieni.

Dlategośmy się tak zapuścili w wyłożenie elementarnych zasad optyki nowoczesnej, żeby wykazać ignorantyzm tych, którzy szarlatanom zalecającym używanie szkieł błękitnych posłuch dają. Światło, które przeszło przez szkło zabarwione, nie może wskutek tego nabrać żadnej nowej własności; pozostają one też same, tylko w znacznie słabszym stopniu. Doświadczenia wykazały najdokładniej, że promienie przepuszczone przez szkło błękitne działają daleko słabiej chemicznie, aniżeli czyste promienie słońca. Fakt ten wystarcza do zbicia teoryi błędnych o szkle błękitnem, bo światło przezeń przepuszczone nie może posiadać ani jednej własności więcej, niż światło słoneczne.

Dzisiejszym Idealistom.

Czyliż fałszywy wzbrania wam wstyd
Z obłoków zstąpić do ziemian?
I czynnie walczyć o dalszy byt
Wśród życia wstrząśnień i przemian?

Czyliż sądzicie, iż spadek wasz
Całą wam wieczność zapewni?...
Że odwracacie od ziemi twarz
Bezczynni — a jednak gniewni.

Wprawdzie bogaty wzięliscie dział,
Przyjąć dziedzictwo gotowi —
Lecz on na zawsze nie będzie trwał
Gdy zasiew żniwa nie wznowi.

Kto żyje z plonu dawniejszych lat,
Przeżuwa przodków dostatki..,
Temu dowództwo odbierze świat,
A mienie — wydrą wypadki!

Do tych należy jutrzejszy dzień,
Co nowych łakną zdobyczy —
Kto się usuwa w ciszę i w cień,
Ten się do żywych nie liczy.

Dziś hasłem walka — i trudno już
Milczeniem przeczyć jej skrycie —
Dziś trzeba zstąpić w sam środek burz,
Potrzeba walczyć o życie!

Napróżno chcecie wykluczyć gwałt
Z duchowej sfery istnienia,
On tylko wyższy przybiera kształt
W głębiach ludzkiego sumienia.

Lecz i tu — walka powszechna trwa,
Podległa duchów potrzebie —
A ten zwycięzcą — kto drugim da
Najwięcej światła od siebie!

El..y.

ZE WSPOMNIEŃ

J. J. Kraszewskiego.

IV.

Intermezzo.

W ciągu tego więcej niż pół wieku, który się dobrze pamięta, jakże niesłychane zaszły na świecie, w pojęciach, w ludziach, w trybie życia zmiany! Począwszy od kolei, a skończywszy na Darwinie, ileż to wynalazków, ulepszeń i pogorszeń dożyliśmy! Za moich studenckich czasów szosowany gościniec wydawał się niesłychanym postępem, a Cuvier najznakomitszym naturalistą. O protozoonie aniśmy słyszeli wówczas, a jazda parą po żelaznych gościńcach przeczuwać się nawet nie dawała. Mówiłem już, że wuj mój, pan Wiktor Malski, bryczką i czterema końmi jeździł do Neapolu. O wiele później około 1838 roku, nieboszczyk p. Antoni Urbanowski, wuj żony mojej, odbywał coroczną wędrówkę do Saskiej stolicy musztardowym koczem, z tłomokami z tyłu, cztery konie w porącz, z pościelą własną i wszelkiemi zapasami, ba i kucharzem własnym, nie licząc wiolonczelisty, towarzyszącego mu zawsze. We Florencyi do dziś dnia pamiętają tych polskich wędrowców, którzy ze sznurami przytwierdzonym z tyłu tłumokiem i bosą na nim służącą, wjeżdżali pod Giottowską dzwonnicę. To pewna, że ówcześni podróżni, powoli się tak wlokący od gospody do gospody, choć nie obdarzeni nadzwyczajnym zmysłem obserwacyjnym, lepiej mogli poznać kraje i obyczaje niż my dziś, przelatując je na skrzydłach pary. We wszystkich życia stosunkach zaszły równie wielkie, radykalne zmiany. Nie wiem jak się to działo, że wielki ów przewrót we Francyi, który tak potężnie oddziałał na świat cały i odbił się u nas w pojęciach, w literaturze, w życiu, wiele węzłów potargał, wiele zachwiał przekonań, pomimo to raczej na powierzchnię społeczeństwa działał, niż sięgnął do głębi.

Począwszy od owego kapitana Sobolewskiego, o którym wspomniałem, a który powrócił z Francyi zupełnym „niedowiarkiem Bożym,“ spotykało się wolteryanów mnóstwo, sarkazm i szyderstwo odzywało się do koła, ale było wię-

cej modą, naśladowaniem, czemś przejętem, jak krój fraka i fontaż u chustki, niż głęboko poczutem.

Mnóstwo ludzi pamiętam, będących w nieustannej z sobą sprzeczności, niby wolno-myślących, gdy się przyszło z tem popisywać głośno, a w domowem życiu chrześcian po staremu, zachowujących wszystkie kościoła przepisy i nieodłączających się od społeczeństwa na wskróś jeszcze katolickiego. W wielu domach mężczyźni, którzy się o wielki świat ocierali, naówczas w rzeczach wiary najzepsutszy, afiszowali wolnomyślność, kobiety wszystkie pozostawały przy starej wierze i na wodzy trzymały panów mężów, którzy w propagandę się wdawać nie śmieli. Duchowieństwo było pobłażającem, łagodnem, wyrozumiałem i tą dobrocią, a cierpliwością nawet zbłąkanych zwracało nazad do kościoła. Tolerancya była w duchu, obyczajach, tradycyi.

P. kapitan Sobolewski, który głośno i chłodno wyznawał, że absolutnie w nic nie wierzył, przyjeżdżał na odpust jak i drudzy i chodził do kościoła. Ludzi w sprzeczności samych z sobą chodziło po świecie mnóstwo.

Wpływ obcych krajów, szczególniej zachodu, z którym nas długowieczne wiązały stosunki, był zawsze ogromny i nieprzeparty. Odbijały się u nas nie tylko mody jego, upodobania, systemy, ale nawet prądy, które się na naszej ziemi tłumaczyć nie dawały, nie mając racyi bytu.

Pozostało to do dziś dnia i jest nadzwyczaj, na nieszczęście, dobitnem jeszcze. Z długiej kurateli trudno się wyzwolić, szczególniej gdy ona cięży na duchu. W tym samym stopniu, aż do obecnej chwili prawie, Niemcy ulegali wpływowi cywilizacyi, czego ślad pozostał w języku.

Za życia prababki, jak ona sama opowiadała, w wielkiej modzie były suknie koloru *Caca du Daufin* — i panie nosiły tę kakadelfinę w kilka tygodni po przyjściu jej na świat w Paryżu. — Tak samośmy nosili francuskie idee.

Nowe książki francuzkie rozrywano, podawano sobie z rąk do rąk; nie znać ich, nie mieć, było upokarzającem. Za Stanisława Augusta jeden z Sapiehów starą bibliotekę polską swoją całą precz kazał wyrzucić, a na jej miejsce installował Dykcyonarz filozoficzny p. Mably i Rousseau.

Umiejętność francuskiego języka była nieodzowną, upośledzonym w towarzystwie stawał się, kto go nie umiał, albo źle nim mówił.

Dla mnie jednak, od dziecinnych lat, już nie wiem skutkiem czego, przeczuciem jakiemś, sympatyą niepojętą, — książka stara, szczególniej polska, miała urok niesłychany. Nikt u nas w domu w starych książkach wcale się nie kochał, nie było to więc naśladownictwem, ale symptomem dla mnie do dziś dnia niezrozumiałym. Pierwszy raz w życiu spotkałem się ze skrzynka bardzo starych ksiąg wyrzuconych z biblioteki Bialskiej na strych przy porządkowaniu jej przez prof. Zengtellera. Chwili tej do dziś dnia zapomnieć nie mogę... Pierwszym szpargałem odartym, który mi się w ręce dostał, był — Zielnik Marcina z Urzędowa. Po co poszedłem na ten strych nie wiem, lecz spostrzegłszy książki rzuciłem się na nie, jak na skarb, z gorączkową chciwością.

Pomiędzy mną a niemi był jakiś—nie wiem, pozaświatowy związek, zdało mi się, że je sobie przypominam, jakby dawniej gdzieś widziane i znane. Miłość tę dla bibuły wiernie aż do dziś dnia zachowywałem w sercu, i Bóg jeden wie, ile ona mnie kosztowała. Nie miałem naówczas porządnego surduta w Wilnie i nie zawsze byłem obiadu pewnym, gdym za drogie pieniądze dostał Włodka o naukach wyzwolonych, Brauna i Mowy Ossolińskiego.

Dziś jeszcze stare książki wypychają mnie ze szczupłego domku, bo się ich urokowi oprzeć nie umiem. Przynosić się one z sobą zdają jakąś woń przeszłości, fizyognomia ich mówi, są to goście ze świata umarłych, do którego doprawdy serce mocniej bije, niż do żywego.

Na strychu owym w Bialskiej akademii, gdzie stałem u zacnego Rektora Preyss'a, i gdzieśmy razem z Aleksandrem, z Glogerem i Koronatem Cyruńskim, naszym dozorcą, tak miłe chwile spędzali — na owym strychu nabrałem passyi do starych książek. Dziwnie zrazu wydawał mi się język ów XVI. wieku, taki poważny zamaszysty, jędrny, wyrazisty — alem poczuł wprędce, że ten, który przyniosło odrodzenie za Stanisława Augusta, ani mógł się z nim mierzyć. Czuć, że między Zygmuntowskim a tym nić tradycyi żywej pękła. Soki co płynęły w tamtym, już w Stanisławowskim nie krążą.

W Białej prawie jeszcze byłem jakby w domu, jak u babek... Pani Preyssowa obchodziła się z nami jak z własnemi dziećmi, do Romanowa jeździło się na święta, małe miasteczko jeszcze woń miało wiejską. Ruiny zamku Radziwiłłowskiego, którego już część tylko mała była mieszkalną, kościół i klasztor księży Reformatów, dobrze znanych, bo dostarczał kapelanów kaplicy w Romanowie, klasztor panien Miłosierdzia, cerkiew Bazyliańska, wszystko to i ów kosciół farny, w którym śpiewaliśmy Gorzkie Żale, i murowana figura z obrazem Ś. Jana Kantego, nawet piec w klasie na górze z datą 16.... któregoś roku, tak się w pamięć mocno wraziły! Okolice miasta były daleko mniej ożywione naówczas niż dzisiaj, do lasu było bliżej, — we wnętrzu ciszej — ale już naówczas przebiegająca pod samą Akadamią szossa, wiodąca do Warszawy, jak arterya biła życiem i tętniała ruchem. Na cmentarz około Fary, pod cień starych drzew, najbliżej było wybiedz z piłką lub ot tak — bez celu. Naówczas zaglądało się z ciekawością trwożliwą do narożnej kostnicy, w której katafalk odpoczywał, rozpatrywało kamienie grobowe z nieczytelnymi napisami, wklęsłe już w ziemię, których kilka rosło około kościoła.

W Akademii samej, bo tak się zwała owa filia krakowskiej szkoły, mieszkał rektor Preyss i my u niego — Gloger, Cyruński, w dziedzińcu we dworku na prawo professor Adam Bartoszewicz, ojciec Juliana, Zengtelerowie i kilku profesorów utrzymujących uczniów. Wszystko to stanowiło niemal jednę rodzinę, a my młodzi jednę gromadkę.

Profesor Bartoszewicz miał ogromne księgi wypisów poezyi i prozy, które uczniom pożyczał. Poważny, majestatyczny niemal, ale dziwnie łagodny i dobry, z uśmiechem ojcowskim na ustach, stary, pierwszy mój nauczyciel literatury, gdym go w kilkadziesiąt lat później spotkał w Warszawie, tak się nic a nic nie odmienił, żem na widok jego osłupiał. Za moich czasów miał już tę łysinę, na którą zręcznie z tyłu włosy zagarniał, a wiek go nie pochylił, nie ugiął i nie wziął mu tej pogody z twarzy, która ją blaskiem wewnętrznego spokoju oświecała.

Daleko więcej obawialiśmy się profesora Zengtellera, który w poobiednich godzinach, krokiem poważnym, z kluczem w ręku przybywał do muzeum i dopóki tu siedział, hałaśliwej swawoli naszej nie znosił. Naówczas przenosiła się ona do której z pustych klas na dole. Tameśmy i nasze doświadczenia fizyczne i chemiczne robili, do których syn aptekarza a nasz kolega dostarczał materyałów. Dobre to zaprawdę były czasy. Wszystko się śmiało i bawiło, wszystko było nowem i ponętnem. Chciało się pożreć całą mądrość książek, napić całej poezyi świata, zajrzeć do najskrytszego kątka i wtajemniczyć we wszystko dziwne, nieznane a pożądane...

Nie mogę się wcale pochwalić, ażebym był uczniem bardzo pilnym, miałem brzydki zwyczaj uczyć się zawsze nie tego co było potrzeba, ale ku czemu ciągnęła fantazya i owa nienasycona ciekawość, która ciągnie do piekła. Pragnęło się wyprzedzić, nie wlec się powoli i dużo wałęsało po bezdrożach. Mam jeszcze do dziś dnia drukowany list pochwalny otrzymany w Białej, ale nie jestem pewien, czym na niego zasłużył.

Z czasów pobytu mojego pamiętam tu przybycie wizytatora Rakowieckiego, uczonego autora Prawdy Ruskiej, ktory przyjechał na dwukonnym wózeczku nadzwyczaj skromnie i surową swą fizyognomią bardzo nam zaimponował. Dziad Malski, przejeżdżający przez Białę z Franciszkiem Wężykiem, wywołał mnie ze szkoły, aby zaprezentować słynnemu już wówczas poecie. W kilkadziesiąt lat później miałem szczęście zaprezentować mu się w Krakowie.

Lata te w Białej przebyte przeleciały, mignęły jak błyskawica, ale ileż one wrażeń, wspomnień zostawiły po sobie! Tu pierwsze bajki wierszem tłumaczyłem z Lafontaine'a i w paradnie oprawnym seksternie, ku wiekuistej zachowałem je pamięci.

Nie mogę zaręczyć, czym też nie pisał poematu czterech pór roku, których raptularza już tylko fizyognomia mi się przypomina. To pewna, że umysł się poruszał, i przyszły ów zawód, ku któremu popychała mnie jakaś fatalność, wabił już ku sobie.

Z wypisów prof. Bartoszewicza poznałem się z poezyami Krasickiego, Naruszewicza, Niemcewicza i Brodzińskiego. Pieśni jego, pamiętam, śpiewaliśmy na przechadzkach. Bajki księcia poetów wrażały się dobrze w pamięć, smętny wdzięk poezyi Kaźmierza z Królówki miał dla nas urok wielki. Z matematyką i rachunkami bieda była nie mała i smaku w nich nie miałem nigdy. Czytało się, szczególniej rzeczy niepotrzebnych, bardzo dużo, prędko i chciwie.

Z ulicznych postaci Białej, pomnę, jaką grozą napełniali mnie w kajdany okuci aresztanci, których czasem do robót około drogi i ulic w mieście wyprowadzano pod strażą z wieży zamkowej. W każdym z nich widziało się tragedyę jakąś, krew, zbrodnię i sam brzęk łańcuchów ich przerażał, tak, żem uciekał i chował się, by ich nie widzieć. Ubogi, głupi Janek, który kamieniem sobie bił w głowę, a czasem nią o mur stukał, bosy w czarnej koszuli, bez czapki, z twarzą czerwoną i straszną, obudzał ciekawość — wypraszał groszaki, bo go bardzo żal było. Bełkotał coś zawsze niewyraźnie sam do siebie, śmiał się, czasem przypadał pod murem akademii, a myśmy go obstępowali ciekawie. Niezapomnianą jest także stara Feiga, która z owocami, pierniczkami, makagigami, przybywała nas kusić i u której ogromnieśmy się zadłużali za te delikatesy. Długi dochodziły nieraz do pięciu złotych, a naówczas nie pozostawało nic, jak wyrzekłszy się słodyczy, schować do drwalni na widok wierzycielki. Uiszczało się dopiero po powrocie ze świąt, z kieszonkowego kapitału, który prababka dawała na drogę. Często

dochodził on dukata, a wówczas zdawało się, że za niego świat kupić będzie można. Najczęściej jednak zabierała go Feiga za te nieszczęsne łakocie.

Stare zamczysko Radziwiłłowskie, któreśmy czasem mogli oglądać, do najwyższego stopnia rozbudzało fantazyą szczątkami życia, które po niem były rozsypane. Resztki pokojów zwierciadlanych, supraporty malowane, posadzki kunsztowne, gdzieniegdzie sprzęty stare a raczej skielety ich tylko, rzeźby, złocone okładziny ścian, mówiły o niedawnej przeszłości. Tysiące powieści krążyło o gmachu i jego panach, — W ustach ludu tak szybko proza życia przerabia się na poezyą i postacie idealizują, że już za moich czasów królowały tam legendy.

Przypominam sobie powtarzaną wówczas historyę kuliga Radziwiłłowskiego w lipcu, który miał się odbyć po drodze solą wysypanej i śnieg zastępującej.

Ale już naówczas główny korpus zamku się walił, kawały muru się osypały, oko sięgało do wnętrzów, deszcz i wicher gospodarował w wielkich salach na pierwszem piętrze. Gmach okazały, łatwo mógł być ocalonym, nikt o tem nie myślał. Pioruny i burze dokonały zniszczenia. Wjazdowa brama tylko i wieża nad nią utrzymały się w dobrym stanie i służyły za więzienie.

Tuż za miastem był klasztor Panien Miłosierdzia, około którego przechodziło się idąc na dalsze przechadzki. Około Akademii, mimo klasztoru tego i Fary, biegła w świat ku Warszawie szossa, nad którą wielekroć stawaliśmy przypatrywać się przelatującym podróżnym.

Ztąd dolatywały nas, niezrozumiałe naówczas, wielkie nowiny o zmianach, jakie się działy daleko. Czuliśmy tylko ich ważność po twarzach zasępionych starszyzny, która je sobie powtarzała po cichu. Miał naówczas znaczenie każdy kurjer, który w galopie przesuwał się tą drogą, każdy powóz pokaźniejszy. Z za figury Ś. Jana Kantego przyglądaliśmy się z ciekawością gorączkową tajemniczym postaciom, prześlizgającym się przed oczyma naszemi i niknącemi w tumanach kurzu, przy odgłosie trąbki pocztowej.

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Wybuch dynamitu.

Próba zapowiedziana przez starego obermana, powiodła się zatem. Gdy, jak wiadomo, wodor dwuwęglowy wydobywać się może jedynie z pokładów węglowych, istnienie przeto tychże pokładów nie ulegało już żadnej wątpliwości. Jaka zaś jest ich rozległość i jaki gatunek węgla, okaże się to przy dalszem dochodzeniu.

Do takich ostatecznych wniosków doszedł inżynier, rozważając tylko co dokonane doświadczenie i towarzyszące mu okoliczności. Wnioski te zgodne były zupełnie z instynktowemi przypuszczeniami Szymona.

— Nie ma wątpliwości — mówił w duchu James Starr—że po za tą ścianą znajdują się pokłady węglowe, których przy sondowaniu niepodobna było dosięgnąć. A szkoda wielka, że się tak stało, bo teraz trzeba będzie całą kopalnię na nowo urządzać. Ale mniejsza oto! Odszukawszy przerwaną żyłę, którą poczytywaliśmy za wyczerpaną, nie opuścimy już jej tak łatwo!

— I cóż pan myślisz o naszem odkryciu?— zapytał Szymon. Czy napróżno fatygowałem pana? Czy żal panu tej podróży odbytej do kopalni Aberfoyle?

— Nie, nie, stary mój kolego! — odparł inżynier. — Nie zmarnowaliśmy naszego czasu, ale teraz tracilibyśmy go napróżno, pozostając tu dłużej. Wracajmy na folwark. Jutro przyjdziemy tu znowu i wysadzimy dynamitem tę ścianę; następnie obejrzymy zewnętrzny obszar pokładów a jeżeli z kilkukrotnego sondowania przekonamy się o większej ich wartości, wracam do Edymburga i ku wielkiemu zadowoleniu dawnych akcyonaryuszów zakładam Towarzystwo nowej Aberfoyle. Zanim trzy miesiące czasu upłynie, musimy wydobyć pierwszą bryłę węgla z odrodzonych pokładów!

— Dzielnie pan mówisz! — zawołał Szymon Ford. — Stara więc kopalnia nasza odmłodnieje znowu, jak wdowa wychodząca powtórnie za mąż. Powróci więc dawne życie! Kilofy i motyki zadrzą znowu w rękach górników, wagony z węglem toczyć się będą w galeryach, zahuczą maszyny i ja to wszystko ujrzę jeszcze i usłyszę!... Bo spodziewam się, panie inżynierze, że nie będziesz mnie pan uważał za zbyt starego na objęcie dawnych moich obowiązków obermana?

— Nie, nie, stary mój kolego; co do tego możesz być zupełnie spokojnym. Znalazłem cię o wiele młodszym odemnie.

— Święty Mungo niechaj opiekuje się nami! Pan znowu będziesz naszym „viewer'em“, a eksploatacya kopalni w długie przeciągnie się lata i Bóg łaskawy nie dozwoli mi dożyć chwili ich wyczerpania!

Radość starego górnika nie miała granic. Inżynier nie mniej od niego był uradowanym, ale pozwolił mu cieszyć się za dwóch.

Jeden tylko Henryk milczący był i zamyślony. W myśli jego przesuwały się kolejno wspomnienia dziwnych i niewyjaśnionych okoliczności, towarzyszących odkryciu nowych pokładów węgla. Przyszłość niepokoiła go.

W godzinę później byli już z powrotem na folwarku.

Inżynier jadł kolacyą z wielkim apetytem, milczącem tylko potakiwaniem przyjmując rozliczne plany, jakie rozwijał przed nim uszczęśliwiony oberman, i gdyby nie gwałtowna żądza rozpoczęcia już robót, noc ta jaką przepędził w cichym i spokojnym folwarku podziemnym, byłaby najprzyjemniejszą nocą z całego jego życia.

Nazajutrz, po obfitem śniadaniu, inżynier, Szymon Ford, Henryk i sama nawet Madge, puścili się w tę samę drogę, którą już wczoraj we trzech przebyli. Wybrali się wszyscy jak prawdziwi górnicy; wzięli ze sobą różne narzędzia i naboje dynamitowe, przeznaczone do rozsadzania skały. Henryk, oprócz zwykłej lampki górniczej o silnym płomieniu, zaopatrzył się w wielką lampę bezpieczeństwa, mogącą palić się przez dwanaście godzin. Więcej to było, aniżeli zachodzić mogła potrzeba na odbycie drogi tam i napowrót, licząc w to już i prawdopodobne przystanki dla zbadania tak miejscowości jak i rozciągłości pokładów.

— Do dzieła! — zawołał Szymon, skoro znaleźli się w końcu galeryi.

I uzbroił się w olbrzymi drąg żelazny, którym silne ręce jego władały swobodnie jakby lekkiem piórkiem.

— Za chwilę jeszcze —rzekł inżynier. — Musimy się poprzednio przekonać, czy gaz wydobywa się ciągle przez szczeliny.

— Pan inżynier ma słuszność — potwierdził Henryk. — Otwory mogą być tak samo pozalepiane dzisiaj, jak były wczoraj.

Madge, siedząca na odłamie skały, przyglądała się w milczeniu i grocie, w której się znajdowali, i ścianie którą miano rozsadzić.

Po bliższem zbadaniu, przekonali się, że wszystko znajduje się w takim stanie, w jakim pozostawili wczoraj. Przez szpary pomiędzy blaszkami łupku wydobywał się gaz, w niewielkiej wprawdzie ilości, co wszakże łatwo dało się usprawiedliwić ciągłem jego ulatnianiem i koncentrowaniem się w wyższych sferach obszernej komory i sąsiednich galeryi, gdzie dostateczna ilość bezprzestannie odświeżającego się powietrza, zapobiegała wszelkim możliwym wybuchom — górnicy też nasi, bez żadnego niebezpieczeństwa przystąpić mogli do pracy.

— Zaczynajmy! — powtórzył Szymon.

I niezadługo pod silnem uderzeniem drąga, zaczęły odpadać kawałki skały.

Inżynier podnosił z ziemi te kawałki i badawczo rozpoznawał je, szukając w nich jakichkolwiek śladów sąsiedztwa węgla kamiennego.

Formacya ta składała się przeważnie ze skamieniałości znajdowanych zwykle pomiędzy wapieniem i łupkiem w pobliżu węglowych pokładów.

Pierwsza ta praca zajęła około godziny czasu, a gdy już wydrążenie miało dostateczną głębokość, Henryk we wskazanych przez ojca miejscach wykuł niebawem kilka otworów, w które włożono dynamitowe naboje z długim knotem smołowcowym opatrzonym na końcu piorunującą nicią.

Po zapaleniu knota za pomocą lontu, usunęli się wszyscy w bezpieczne miejsce.

— Ah, panie James! — zawołał Szymon pod wpływem gwałtownego wzruszenia, którego już nie usiłował ukrywać—przez całe życie nie biło mi serce tak gwałtownie jak w tej chwili! Radbym już dobrać się do jakiej żyły obfitującej w węgiel!

— Cierpliwości, mój stary — odparł na to inżynier. — Spodziewam się, że nie masz pretensyi, abyś tam za ścianą znalazł zaraz pokłady gotowe do eksploatacyi?

— Wybacz pan, ale mam prawo wszystkiego się spodziewać! Skoro pod tak dobrą wróżbą rozpoczęły się nasze poszukiwania, dlaczegożbym miał zwątpić w dalsze powodzenie?

W tej chwili nastąpił wybuch dynamitu. Głuchy grzmot rozległ się w ciemnych podziemiach.

James Starr, Madge, Henryk i Szymon Ford podbiegli natychmiast do podminowanej ściany.

— Spojrzyj pan, panie inżynierze! — zawołał Szymon — mamy przed sobą drzwi na rozcież otwarte.

Porównanie to starego górnika usprawiedliwiała w zupełności czarna głębia, której rozległości niepodobna było odgadnąć.

Henryk jednym skokiem był już przed otworem.

Ale inżynier, niezmiernie zresztą zdziwiony

niespodziewanem odkryciem jaskini w tem miejscu, pochwycił go za ramię.

— Wstrzymaj się — rzekł — dopóki się tam powietrze cokolwiek nie odświeży.

— Słusznie! — dodał Szymon — niech wprzód wyziewy szkodliwe ustąpią.

Upłynęło kilkanaście minut w gorączkowem oczekiwaniu. Następnie zawiesili lampę na długim kiju i wpuścili ją do otworu: płomień palił się jasno i spokojnie.

— Teraz możesz już iść, Henryku — rzekł inżynier. — My pójdziemy za tobą.

Otwór wyżłobiony eksplozyą dynamitu wystarczający był zaledwie dla pojedyńczej osoby.

Henryk z lampą w ręku, wszedł weń śmiało i niebawem znikł w ciemnościach.

Inżynier, Szymon i Madge, tłumiąc oddech w piersiach, stali nieruchomie u wejścia.

Upłynęło kilka minut, które im się wiekiem wydawały. Henryk nie powracał i nie przywoływał ich. Zaniepokojony inżynier wychylił głowę przez otwór, ale nie ujrzał nawet lampy, która powinnaby przecież widoczną być w tej ciemnej jaskini.

Czy nagle gruntu zabrakło pod nogami młodego górnika? czy zapadł się w jaką otchłań? Czy wołał o pomoc, a głosu jego nie można było dosłyszeć?

Szymon, pełen dręczącej obawy, miał już iść za synem, bez względu na własne niebezpieczeństwo, gdy nagle ukazało się światełko, z początku słabo, następnie coraz zwiększające się, aż w końcu i głos Henryka do nich doleciał:

— Chodź pan, panie inżynierze!... chodź ojcze!... Nowa Aberfoyle oczekuje waszego przybycia!...

IX.

Nowa Aberfoyle.

Gdyby nadludzką siłą jaką można było odchylić na tysiąc stóp głębokości całą część skorupy ziemskiej, unoszącej na sobie jeziora, rzeki i zatoki wraz z przylegającemi do nich gruntami hrabstw Stirling, Dumbarton i Renfrew, ujrzelibyśmy pod tą olbrzymią pokrywą, niezmierną jaskinię, z którą na całym świecie, jedne tylko groty Mamuta, w Kentucky, porównaćby się mogły.

Jaskinia ta składała się z tysiąca przedziałów, o rozlicznych rozmiarach i kształtach. Rzekłbyś, że to ul napiętrzony celkami fantastycznie rozłożonemi, ale ul zbudowany na olbrzymią skalę, ul, w którym zamiast pszczół wygodnie pomieściłyby się wszystkie ichtyozaury, megateriumy i pterodaktyle z czasów przedpotopowych!

Groty te i oddzielne jaskinie połączone były między sobą całym labiryntem galeryi, z których jedne wyższe od najwynioślejszych naw katedralnych, inne nizkie jak tunele, te ciągnęły się w linii prostej, poziomej, tamte znów wiły się w górę lub na dół, ułatwiając wszechstronną komunikacyą.

Filary, podtrzymujące owe sklepienia zbudowane według najrozmaitszych fantastycznych stylów, grube mury pomiędzy galeryami, jak i same nawy tych drugorzędnych pokładów, zbudowane były z wapienia i skalistego łupku. Wśród tych dopiero warstw nieużytecznych bezpośrednio ciągnęły się, jak czarna krew w nierozwikłanej siatce arteryi, przepyszne żyły węgla kamiennego, obejmujące przestrzeń czterdziestu mil angielskich, w kierunku od północy ku południowi i zagłębiające się aż pod kanał Północny. Objętość tego obszaru dałaby się tylko ocenić za pomocą sondowania, musiała ona jednak prawdopodobnie przewyższać pokłady węgla w Cardiff, w księstwie Walii i w Newcastle, w hrabstwie Northumberland.

Dodać do tego należy, że eksplotacya tej kopalni o tyle była ułatwioną, że w skutek dziwacznego ustroju warstw drugorzędnych i niepodobnego do wyjaśnienia braku minerałów w epoce geologicznej, w której wytwarzały się owe masy węgla, sama przyroda zaopatrzyła Nową Aberfoyle w niezbędne galerye, chodniki i korytarze.

Tak jest, przyroda sama! W pierwszej chwili możnaby sądzić wprawdzie, że kopalnia była już eksploatowaną przed wiekami i opuszczoną następnie. Bynajmniej. Podobnych skarbów nie porzuca się, skoro już raz staną się dostępnymi! Stopa ludzka nie dotknęła nigdy tej części podziemia starej Szkocyi i cała cudowna architektura kopalni była jedynie dziełem przyrody. Powtarzamy przecież, że w porównanie z Nową Aberfoyle nie mogłyby iść ani pieczary egipskie, ani rzymskie katakumby, a w przybliżeniu jedynie zestawićby z nią można słynne podziemia Mamuta, które na przestrzeni przeszło dwudziestu mil, mieszczą w sobie sto dwadzieścia sześć chodników, jedenaście jezior, siedm rzek, ośm wodospadów, trzydzieści dwie bezdennych studzien i pięćdziesiąt siedm sklepień, z których niejedne wznoszą się do wysokości czterystu pięćdziesięciu stóp angielskich.

Podobnież jak te pieczary i Nowa Aberfoyle nie była dziełem rąk ludzkich, ale wyszła w całości z rąk Twórcy wszechświata.

Takie to niezmierne bogactwa, ukryte dotąd przed okiem człowieka, wydobyło na jaw odkrycie dokonane przez starego obermana. Dziesięciu lat pobytu w opuszczonej kopalni, rzadkiej wytrwałości w poszukiwaniach, niezłomnej wiary, podtrzymywanej cudownym górnika instynktem, potrzebował on aby dojść do celu, do którego tylu innych przed nim napróżno dążyło. Dlaczego jednak sondowania wykonywane pod specyalnym dozorem inżyniera James Starr, jako ówczasowego „viewer'a“, nie doprowadziły do pożądanych rezultatów, dlaczego przerwane zostały właśnie na granicy nowych pokładów? pozostało to na zawsze niewytłómaczoną zagadką, dziwną igraszką przypadku, tak wielką zwykle w podobnych przedsięwzięciach odgrywającego rolę.

Jakkolwiekbądź, Szkocya zbogaconą została o jedno hrabstwo podziemne, któremu, aby zostało zamieszkałem, niedostawało tylko promieni słonecznych, lub w braku tychże, jakiego innego, odpowiedniego, sztucznego światła.

Wody wewnętrzne zbierały się tam w oddzielnych wklęśnięciach, tworzących obszerne sadzawki lub nawet jeziora nie mniejsze od jeziora Katrine, znajdującego się właśnie w tej samej okolicy na powierzchni ziemi. Bezwątpienia, jeziora te nie były ruchome jak wody zewnętrzne; nie znały one odpływów i przypływów; nie odbijały się w nich kontury starożytnych zamków gotyckich; brzozy i dęby nie zwieszały swoich konarów nad ich brzegami; parostatki nie przerzynały ich powierzchni; żadne światło nie odbijało się w tych toniach; słońce nie złociło wody promienistemi blaski, ni srebrzysty księżyc nie przeglądał się nigdy w milczących jej nurtach — a jednakże głębokie te jeziora, gładsze od zwierciadła, miały swój wdzięk właściwy, i połączone między sobą całą siecią kanałów, uzupełniały geograficzną całość tej cudownej podziemnej dziedziny.

Pomimo zupełnej nieurodzajności swej pod względem roślinności, podziemia te mogłyby wygodnie tysiące ludności pomieścić w sobie. I kto wie, czy kiedyś, po wyczerpaniu kopalni Aberfoyle, podobnież jak i kopalni Newcastle, Alloa lub Cardiff, biedne klasy ludności Zjednoczonych królestw, nie zechcą szukać bezpiecznego schronienia w owych miejscach gdzie wiecznie jednostajna panuje pogoda?! (C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XXIV.

Sezon ogórkowy rozpoczął się dla ruchu wydawniczego pod najgorszą wróżbą. Wojna tak zaabsorbowała umysły i kieszenie, że nawet Warszawa, która zawsze najdzielniej podtrzymywała ruch wydawniczy, w tym roku nie dopisała. Wydawcy w ogóle uskarżają się na brak odbytu i zupełna stagnacya w handlu księgarskim nastąpiła. Tylko dzienniki, a przeważnie polityczne, zasilają piśmiennictwo. — Z nowych książek mamy do zanotowania dwa dzieła o Kaukazie napisane przez ludzi, którzy po lat kilkanaście tam przebywali, mianowicie przez pp.: Gralewskiego i Jaworskiego. Pierwszy jako zesłany za usiłowania patryotyczne, drugi jako dobrowolny ochotnik, oficer sztabowy, przedstawili nam tę krainę i ludy ją zamieszkujące z dwóch diametralnie przeciwnych punktów widzenia. Pan Gralewski jako patryota polski zrozumiał uczucia ludu walczącego za swoją niepodległość, potrafił należycie ocenić jego wzniosłe uczucia i usiłowania, jego poświęcenie bez granic i dla tych wielkich cnót pobłażliwie ocenia strony ujemne. Pan Jaworski jako oficer sztabowy moskiewskiej armji najezdniczej, z moskiewskiego też punktu widzenia wszystko ocenia i uważa, że Moskale wyrzynając ludność, paląc wsie i bezczeszcząc to, co ludowi kaukazkiemu drogie i święte, spełniają misyą cywilizacyjną. Ciekawiśmy w czem p. Jaworski mógł upatrzeć tę wyższość cywilizacyi moskiewskiej nad Kaukaską? — *Kaukaz* p. Gralewskiego wyszedł już z druku w całości i wkrótce podamy szczegółową jego ocenę — dzieła p. Jaworskiego wyszedł dopiero zeszyt pierwszy, z którego tylko sposób zapatrywania autora ocenić możemy, ale przyznać musimy, że rumieniec wstydu występuje na czoło, gdy się czyta podobne poglądy, wypowiedziane przez Polaka.

* * *

Towarzystwo święcenia niedzieli rozwija się pomyślnie. U nas gdy idzie o zrobienie rzeczy pożytecznej, każdy się ociąga i przeprowadzenie trudne, ale za to gdy komuś strzeli do głowy jakiś nonsens, zaraz znajduje zwolenników. Trzeba przyznać, że inicyatorowie Towarzystwa biorą się ostro do rzeczy, bo nietylko żądają aby wszyscy przystępowali do towarzystwa, ale grożą, że u ludzi pracujących kupować nie będą i członkom swoim to statutem przepisują. Mój Boże! a komuż to tak na gwałt chce się pracować? Każdyby rad wypoczął nie tylko jeden, ale i więcej dni w tygodniu, tylko nie każdy może. Gdybyście panowie propagatorowie świątkowania zamiast nas zniewalać do tego, nałożyli na siebie obowiązek pracowania chociażby jeden dzień w tygo-

dniu, jużby nam było lżej trochę i możeby to było sprawiedliwiej. Nie za dużo, ale za mało mamy rąk do pracy. Zostawmy każdemu swobodę i swoich widzimisię nie narzucajmy nikomu, a tem bardziej nie organizujmy spisku przeciwko ludziom pracy, bo to jest nie tylko śmieszne, nietylko niedorzeczne, ale gorzej jeszcze.

* * *

Dr. Limanowski zawsze jeszcze pozostaje w więzieniu, ponieważ sprawa, w którą został zamięszany, jest zbyt powikłaną. Czego jednak zrozumieć nie możemy, to że mu w więzieniu nie pozwalają pracować na wyżywienie rodziny. Boć jeżeli p. Limanowski może być winien, to jego półtoraroku mający synek nie może być winien. Wiemy zaś z najlepszego źródła, że p. Limanowskiemu nie pozwolono kontynuować tłumaczenia wychodzących we Lwowie Dziejów powszechnych.

* * *

W zeszłą niedzielę odbył się uroczysty akt zakończenia roku szkolnego w tutejszej szkole dla sług, utworzonej i prowadzonej przeważnie staraniem Dr. Józefa Żulińskiego. W b. r. uczęszczało do szkoły 215 uczenic. Sługi w ogóle dosyć gorliwie zajmowały się nauką, tak, że każdorazowo było obecnych 100 czasem 120 i 140, co zważywszy na liczne przeszkody, jakie mogą się sługom przytrafiać, daje chlubne świadectwo o ich gorliwości i o umiejętności zainteresowania ich przez panie nauczycielki. — Sługi opłacały każdorazowo 1 centa, z czego się tworzy kasa groszowa na zapomogi dla biednych, z tych centów w r. 1877 powstała kwota 36 złr. 55 ct.

Z pomiędzy licznych zmian na rok przyszły podnosimy utworzenie kursu praktycznego.

Celem tego kursu praktycznego, będzie udzielanie najlepszych i najpraktyczniejszych wskazówek 1) w rzeczach domowego porządku (wywabianie plam, czyszczenie statków, gubienie robactwa, zaradzanie dymieniu i t. d. i t. d. 2) w rzeczach kuchennych, (rozpoznawanie fałszowanych pokarmów, przechowywanie zdrowych, przyprawianie wody do prania i gotowania, niektóre przepisy kuchenne i t. d.) wreszcie 3) w rzeczach zdrowia (przepisy higieniczne), pielęgnowanie chorych (przyprawianie kataplazmów, kompres, synapizmów, ziółek, kleików i t. d.), oraz ratowania w nagłych wypadkach (oczadzenia zemdlenia, skaleczenia i t. d.) Sługa w wielu wypadkach jest niemal pierwszą lekarką.

Kasa oszczędzona udzieliła 25 złr. zapomogi na pierwsze potrzeby urządzenia kursu praktycznego. Rada miejska zaś dała 50 złr. na oświetlenie i inne potrzeby szkolne.

Szkoła dla sług może oddać wielkie usługi, a przy rozwoju swoim może zbawiennie oddziałać przeciw okropnej demoralizacyi, jaka w tej klasie w naszem mieście panuje. Dlatego sądzimy, że panie zechcą ze swej strony przyczynić się do rozwoju szkoły przez posyłanie tam sług i zainteresowanie się szkołą.

KRONIKA ODKRYĆ I WYNALAZKÓW.

(Nowy przyczynek do hypotezy Laplace'a. Objaśnienie wstecznego biegu satellitów Urana podane przez Dyr. Ohlerta. — Zastosowanie nafty do ogrzewania kotłów. Próby w Anglii i we Włoszech. Kwestya samorództwa: prace pp. Pasteura i Jouberta.)

Geneza naszego świata słonecznego według słów nowej nauki, jest następująca:

Na początku była olbrzymia, niezmierna mgławica, olbrzymi obłok z pary ciał obecnie na planetach, i na słońcu się znajdujących, siegający daleko w przestrzeń nieskończoną bez porównania dalej, niż najodleglejsze z planet towarzyszących słońcu. Mgławica ta wskutek jakichś nieznanych nam dotąd, lecz o których wiedzieć kiedyś będziemy, wpływów, pochodzących z zewnątrz, obracać się zaczęła około swego środka ciężkości. A ponieważ każda jej cząstka obdarzona była siłą ciążenia, więc zgęszczała się bez przerwy około swego środka. Kula mgławicowa zgęszczając się musiała według drugiego prawa Keplera obracać się coraz szybciej. Najbardziej oddalone części od jądra starały się coraz więcej oderwać od mgławicy, więc przy obrocie coraz szybszym powstawała coraz większa siła odśrodkowa, i nareszcie, kiedy ta siła odśrodkowa stała się większą niż siła ciążenia na obwodzie mgławicy, działająca dośrodkowo, od mgławicy oderwał się pierścień współśrodkowy obracający się razem z mgławicą w jednym kierunku około jądra. Ponieważ tyylko w szczególnych warunkach pierścień taki może wstrzymać się w równowadze, więc prawdopodobnie wskutek jakiejś małej katastrofy pierścień rozerwał się, pękł w jednem lub w kilku miejscach i według praw hidrostatyki zlał się w jednę lub kilka kul krążących około głównej masy mgławicowej.

Tak powstała pierwsza planeta.

W dalszym biegu rzeczy od coraz bardziej się zgęszczającej i coraz szybciej krążącej masy oderwał się nowy pierścień i powstała nowa planeta, i tak szło dalej aż do naszych czasów. Tak powstał nasz układ słoneczny, a słońce nasze jest jeszcze nie stwardniałem jądrem owej dawnej mgławicy.

Ruch obrotowy mgławicy odbywał się od zachodu przez południe na wschód; w tym kierunku krążyły oderwane pierścienie i kule, które z nich powstały, każda taka kula obracała się około swej osi w kierunku tym co mgławica, — łatwo to było do przewidzenia. Wróćmy dla przekonania się do czasu, kiedy ta kula była jeszcze pierścieniem; część jego zewnętrzna biegła szybciej niżeli wewnętrzna, więc gdy się rozerwał, to kula, która powstała, obracać się samoistnie poczęła w kierunku części pierścienia posiadających większą szybkość.

Każda planeta obracała się tak, jak mgławica, od zachodu przez południe na wschód.

Oderwane kule przechodziły te same koleje co i mgławica. I one się coraz bardziej zgęszczały, odrzucały pierścienie, które albo pękały i robiły się z nich księżyce, lub też zostawały jako pierścienie, czego świadkiem jest Saturn otoczony dotychczas kilkoma takimi pierścieniami.

* * *

Znanem powszechnie doświadczeniem Plateau potwierdził to genialne przypuszczenie. Umieścił on kulkę oliwy w mieszaninie wody i alkoholu mającej równy z oliwą ciężar gatunkowy, tak, że ta ostatnia mogła być w mięszaninie w każdej głębokości zawieszoną dowolnie, i nadał kulce szybki ruch obrotowy. Od powierzchni jej odrywały się pierścienie i rozpadały później na kulki drobniejsze, wirujące około głównej masy.

Według tej hypptezy wszystkie ciała niebieskie, wchodzące w skład naszego systemu słonecznego, *muszą się w jednym kierunku obracać około ciała centralnego*, około słońca. I w samej rzeczy wszystkie planety i księżyce mają ten sam kierunek za jednym wyjątkiem. Dojrzano w dobrych teleskopach, że księżyce Urana mają bieg odwrotny. Odkrycie to stało się głównym argumentem przeciwników Laplace'a, i w samej rzeczy nie można było dotąd wcale wytłumaczyć w jaki sposób z pierścienia oderwanego od mgławicy, a potem zbitego w jedną kulę, mógł powstać ruch podobny. Dokąd jeszcze ten fakt jest piętą Achillesa całej hipotezy.

Czyżby dla tego jednego faktu miał runąć gmach cały z taką genialnością zbudowany? Czyż nie można znaleść jakiegoś wytłumaczenia naturalnego tych dziwnych zmian w biegu satellitów Urana i znaleźć potężną prawicę, która te odległe światy na wsteczną drogę pchnęła! Usiłowano już odpowiedzieć na te pytania w sposób najrozmaitszy, lecz dotąd zadowalającej, przekonywającej teoryi nie ma. Jest wiele bardzo przypuszczeń, z których najnowsze i jedno z najmniej wymuszonych przedstawimy naszym czytelnikom.

W ostatnim zeszycie czasopisma *Gaea* znajdujemy artykuł Dr. Ohlerta zatytułowany: „Bieg wsteczny satellitów Urana" dotyczący właśnie wymienionej kwestyi. Szanowny autor tłomaczy fakt ten w sposób następujący:

Wiadomo że osie obrotu planet wszystkich są nachylone w rozmaitym stopniu do powierzchni, w której około słońca swój bieg odbywają. Nie znaleziono tu dotąd żadnego prawa: jedne są więcej, drugie mniej nachylone. Otóż przypuśćmy że oś Urana stoi prostopadle do płaszczyzny, w której ta planeta około słońca obiega i widzimy wtedy jej księżyce biegące w pewnym kierunku. Dajmy na to, że oś się odchyla od położenia prostopadłego i coraz się bardziej nachyla do płaszczyzny obrotu. Obrót księżyców i samej planety około osi pozostaje zawsze ten sam, lecz kierunek jego coraz bardziej oddala się od kierunku, w którym dąży planeta, i gdy nareszcie oś obrotu upadnie na płaszczyznę, w której planeta około słońca ubiega, nie wiemy wtedy, czy obrót około osi ma miejsce od zachodu na wschód, czy też odwrotnie. Jeszcze małe nachylenie dalej w tym samym kierunku i już będziemy mieli bieg wsteczny.

Jeśli więc przypuścimy tak wielkie odchylenie osi u Uranu, to będziemy mieli wytłomaczenie nie wyświeconego dotąd faktu.

W każdym razie, trudno bardzo wytłumaczyć sobie to nadmierne odchylenie i chyba przyczyny jego szukać trzeba w wielkich katastrofach, które musiały mieć miejsce podczas zbijania się rozerwanego na części pierścienia w jednę kulistą masę.

* * *

Z pomiędzy płodów przyrody, które w ostatnich czasach najpowszechniejsze znalazły zastosowanie, jedno z miejsc najwybitniejszych zajmuje nafta, używana obecnie wyłącznie prawie do lampowego oświetlania. Lecz płyn ten znajdzie prawdopodobnie w bliskim czasie jeszcze obszerniejsze zastosowanie; od dawna bowiem robią już próby użycia go do opalania kotłów i w ogóle do ogrzewania. Niedawno robiono we Włoszech próby w tym kierunku z nowym wynalazkiem, który okazał się dość praktycznym. Nowy sposób polega na tem, że pod kotłem, który trzeba opalać, leży warstwa amiantu (minerału włóknistego, z którego dawniej robiono prześcieradła niepalne,

służące do zawijania trupów przeznaczonych na spalenie) przesiąknięta naftą ciągle dopływającą. Amiant gra tu rolę knota w lampie i nafta pali się, wydając bardzo silne ciepło.

Oprócz pełnienia funkcyi knota, amiant gra tu rolę złego przewodnika, nie dozwalającego ciepłu rozchodzić się na wszystkie strony. Pod warstwą amiantu podczas najsilniejszego ognia ciepło nie jest wystarczające do spalenia papieru, cały więc prawie cieplik używa się na opalenie kotła.

Z tym wynalazkiem robiono także próby w Anglii w obec specyalistów, którzy się bardzo pochlebnie o nim w sprawozdaniu wyrażają.

* * *

Spór prowadzony od dawna między słynnym chemikiem francuskim Pasteurem a profesorem londyńskim Bastianem, co do kwestyi samorództwa, o którym wspominaliśmy w swoim czasie w *Tygodniu*, zachęcił pierwszego z nich do zrobienia większych prób wspólnie z p. Joubertem. Oto są rezultaty tych doświadczeń ogłoszone w sprawozdaniach Akademii paryzkiej:

1° Zarodki bakteryj (mikroskopowych istot sprowadzających gnicie) są tak liczne w niektórych wodach, jak n. p. w wodzie z Sekwany, że jedna kropla takiej wody zawiera kilka gatunków tych drobnych organizmów, pomiędzy którymi są niektóre tak wytrzymałe, że znoszą 100° a w stanie suchym nawet 130°C. Zarodki tam znajdujące się są identyczne z tymi, które Pasteur znalazł jeszcze w r. 1862 w pyle powietrznym.

2° Woda destylowana używana w naszych laboratoryach chemicznych zawiera zawsze zarodki, chociaż w znacznie mniejszej ilości.

3° Woda destylowana w naczyniach zupełnie wolnych od zarodków może być uważana jako czysta zupełnie t. j. nie posiadająca zarodków organicznych.

4° Woda źródlana wytryskująca z wnętrza ziemi nie zawiera bakteryj, chyba aż po zetknięciu z pyłem powietrznym i powierzchnią ziemi.

5° Zarodki są tak drobne, że przechodzą przez wszelkie filtry i nie mącą wcale wody.

Wzmiankowani wyżej panowie mają niedługo ogłosić nową a bardzo prostą metodę, za pomocą której można będzie obserwować zarodki, liczyć je nawet i śledzić za dalszym rozwojem.

Piśmiennictwo polskie.

(*Pompalińscy, powieść przez Elizę Orzeszkowę, Warszawa, nakładem redakcyi „Przeglądu Tygodniowego“ 1876.*)

W chwilach ostatecznego rozbicia Rzeczypospolitej była spora liczba takich rodzin, co przyszły do znaczenia i majątku kosztem kraju. Do takich rodzin należą Pompalińscy, przynajmniej w głównej linii swego domu, z którą najwięcej mamy do czynienia. Wyniosłszy się szybko nad poziom siłą pieniędzy i zająwszy w gronie rodowej arystokracyi jeżeli nie jedno z pierwszych, to zawsze jakieś miejsce, pragnęła ta linia wszelkimi sposobami uświetnić swoje nazwisko i wynagrodzić niejako uporczywe milczenie o niem Paprockich i Niesieckich, a zarazem zagłuszyć niepochlebny szept świeżej tradycyi. Do uświetnienia rodu służą rozmaite sposoby: przybranie tytułu hrabiowskiego, wzniesienie pałacu, któryby ogromem swoim mówił o wielkości rodu, olśniewanie tłumu przepychem pojazdów, sprowadzanie drogich mebli z zagranicy i tym podobne. Trzej bracia Pompalińscy nic nie zaniedbali, aby swój ród uświetnić: tytułowali się hrabiami, przybrali mile brzmiący przydomek do nazwiska, które i tak już było długie i dla uszu przyjemne, mieli dwa pałace w Warszawie, a trzeci budowali w dobrach swoich na Litwie w tak wielkich rozmiarach, że nawet dwa pokolenia nie wystarczały do jego ukończenia. Miał to być największy pomnik chwały tego rodu.

Z trzech braci dwóch tylko zastajemy przy życiu, Augusta i Światosława. Obaj oni są bardzo troskliwi o utrzymanie świetności rodu, ale na tem kończy się podobieństwo. Hrabia August to sześćdziesięcioletni bonvivant, obdarzony wesołością i apetytem i starannie farbujący włosy, hr. Światosław — to zwiędły i bezżenny starzec, znudzony wszystkiem, który nie mają już uśmiechu dla życia i z apatyczną goryczą na świat spogląda. August ma syna Wilhelma, dobrego w gruncie chłopca, ale trzpiota i marnotrawcę, który trwoni majątek za granicą.

Trzeci brat nieboszczyk, zostawił żonę i dwóch synów. Co się tyczy żony, to hrabina Wiktorya jest arystokratyczną dewotką czystej wody z wszelkiemi właściwościami tego typu. Z dwóch jej synów starszy, ulubieniec matki i nadzieja rodu, hr. Mścisław, ma dopiero lat 26, ale przegrał już całą gammę uciech tego świata i jest tak doskonale *zblazowanym* młodzieńcem, że potrzebuje sztucznie urządzanych kłótni z kamerdynerem, ażeby się od czasu do czasu wydobyć z apatyi. Za to drugi jej syn, Cezar, jest smutkiem rodziny, karą widocznie przez Boga zesłaną na ród Pompalińskich. Niekształtny, z dużemi rękami, bez wszelkiej dystynkcyi, wydaje się on w początku powieści idyotą nietylko Pompalińskim, którzy go mimo lat pełnych trzymają w ciągłej kurateli, ale i samemu czytelnikowi.

Taką jest galerya Pompalińskich z głównej linii; ale mamy jeszcze innych Pompalińskich, pośledniejszych. Należy tu naprzód Pawełek, żyjący na łasce możnej rodziny i quasi-dozorca Cezara, chłopak dobry, który spostrzega, że stanowisko jego jest upokarzającem, ale widocznie za słaby jest, aby zerwać się do innego życia; dalej jego siostra Leokadya, panna do towarzystwa pani generałowej Orczyńskiej, która jest także z domu Pompalińska i której losy, jak obaczymy plączą się z losami starszej linii; nareszcie należy tu jeszcze pani Adela z domu Pompalińska, żona p. Wandalina, który w ostatniem powstaniu utracił majątek i żyje w Warszawie z żoną i córką Rózią bez wszelkich środków utrzymania. Rózię kocha Pawełek i nawzajem jest kochany.

Po za Pompalińskimi nie wiele osób wchodzi do powieści i zajmuje dalsze plany. O niektórych wspomnimy niebawem, inne możemy pominąć.

Dla czego jednak wyprowadziliśmy tak wiele osób, chcąc dać jakie takie wyobrażenie o wątku powieści? Oto dla tego, że nie ma tu głównej osoby, lub głównej pary osób, do koła której grupowałyby się wszystkie inne, zajmując bliższe lub dalsze plany. Uwaga i zajęcie czytelnika rozdziela się mniej więcej porówno pomiędzy wszystkie wyżej przytoczone postacie. Bohatera nie ma. Czytelnik sądzi z początku, że będzie nim hr. Mścisław, nadzieja i klejnot domu, ale za ukazaniem się Pawełka, tego ostatniego zaczyna uważać za bohatera. Tymczasem Pawełek prędko schodzi na drugi plan, robiąc miejsce Cezarowi, który niebawem dzieli się pierwszą rolą z Wilhelmem, ten zaś zapóźno przybywa, aby mógł zostać bohaterem. Bohaterem więc powieści nie jest jedna osoba, ale cały ród Pompalińskich, co zresztą zgodne jest z tytułem książki.

Jakiż ważny wypadek zaszedł w tej rodzinie i stanowi fabułę powieści? Należy przyznać, że po odtrąceniu scen służących do charakterystyki osób, scen takich jak np. świetnie wykończona scena przybycia hr. Mścisława z Rzymu z patentem na hrabiów rzymskich, lub pierwsza scena w ubogiem mieszkaniu państwa Wandalinowstwa, żywy kontrast stanowiąca z poprzednią, po odtrąceniu tych i innych podobnych scen, fabuła powieści okaże się bardzo szczupłą i nierozwiniętą. Przypomina ona trochę naszą baśń ludową o trzech braciach, trzech królewiczach, z których dwaj starsi byli mądrzy, trzeci najmłodszy był głupi. Nic on nie robił, tylko siedział za piecem i bawił się piaskiem, a przecież on to, nie kto inny złapał *żar-ptaka*, co kradł w ogrodzie ojcowskim złote jabłka, on dostał *żywej wody*, i wiele innych cudów dokazał. Ale ta baśń w najrozmaitszy sposób przerabiana przez fantazyą ludu, przy całej swojej fantastyczności jest pełniejszą i konsekwentniejszą od fabuły Pompalińskich. Są i tu trzej bracia, Mścisław, Wilhelm i Cezary, z których dwaj pierwsi są uważani za godnych przedstawicieli rodu, trzeci zaś nazywa się w rodzinie *pauvre César*. Trzymają go w rodowem gnieździe Pompalińskich na Litwie, w dobrach, które mu w dziale przypadły po ojcu, ale któremi nie dają mu rządzić. Niedaleko mieszka pani generałowa Orczyńska, kobiecinka chuda, koścista, z ustami wąskiemi, prawie niewidzialnemi, z czołem porysowanem w niezliczone marszczki i z ostremi, zielonawemi oczkami, jakiś ekstrakt istoty kobiecej ubrany w siwe loczki, jedwabie, pióra, perły, koronki i bransolety. Ulubioną towarzyszką pani generałowej jest papuga, powtarzająca ciągle za nią: ludzie są podli! ludzie głupi! itd. co niech służy za ilustracyą usposobień pani generałowej dla ludzkości. A przecież ta zimna i szydercza kobieta była przed laty trzydziestu piękną i kochającą dziewczyną. Kochała hr. Światosława, który ją także kochał, ale żenić się z nią nie mógł, bo była uboga, a świetność rodu wymagała, ażeby się hr. Światosław świetnie ożenił. Nie ożenił się on wcale, jak wiemy, ubogą zaś dziewczynę wydano za starego, ale bogatego generała Orczyńskiego. Miłość dla Światosława zamieniła się w nienawiść ku całej jego rodzinie i ta nienawiść stanowiła odtąd główny motyw uczuć generałowej. Ona to natchnęła Orczyńskiej myśl wciągnięcia Cezara do swego domu z wyraźnym zamiarem usidlania go wdziękami pewnej panny Kniks, pięknej i *rozumnej* główki, gotowej pojąć niezgrabnego idyotę, byle z tytułem i majątkiem. Plan się powiódł nadspodziewanie dobrze, Cezar zakochał się po uszy, ale jednocześnie w idyocie zaczęły się przebudzać myśl i wola uśpione dotychczas ciągle okazywaną mu niechęcią rodziny i systemem wychowania. Cezar postanawia ożenić się z panną Kniks, a wiadomość o tym mezaliansie przeraża rodzinę Pompalińskich. Proponują Kniksom wynagrodzenie pieniężne, co wywołuje tylko przyspieszenie terminu ślubnego. Radziby nawet, aby piękny i trzpiotowaty Wilhelm, który świeżo powrócił z zagranicy, rozkochał pannę i tym sposobem zapobiegł mezaliansowi. Życzeniu ich staje się zadość, ale w połowie: Wilhelm odbija pannę Cezaremu, ale dla tego, żeby samemu z nią stanąć na kobiercu. Zmiana więc tylko osób, ale mezalians zostaje.

Cios, który spotkał Cezara, wrażenie odniesione z rozmowy z pewnym człowiekiem, który dostał obłąkania wskutek ostatnich klęsk narodowych, wreszcie trochę wpływ Pawełka ostatecznie rozbudzają energią w Cezarym, która się zwraca na tory dobra publicznego. Ale cóż? powieść urywa się tam, gdzie Cezar zaczyna budzić sympatyą i zajęcie w czytelniku, gdzie zaczyna być naprawdę bohaterem. Dowiadujemy się tylko na prędce, że sam zaczyna rządzić majątkiem, i że daje u siebie miejsce pp. Wandalinostwu i Pawełkowi. Ale gdzież jest zapowiedziana jego praca dla dobra publicznego? Bylibyśmy ciekawi wiedzieć, co może zrobić dziś dla kraju człowiek stojący na takiem stanowisku jak Cezary, z takim majątkiem i z tak szczeremi chęciami; ale powieść chowa o tem milczenie. Najmłodszy królewicz w baśni jest doprawdy pełniejszą postacią.

Ale byłoby niesłusznie robić z tego zarzut autorce; nie jej to bezwątpienia wina, ale wina cenzury rossyjskiej, o której Słowacki powiedział, że gdy poeta maluje chmurę, to piorun zawsze zostaje w cenzurze. Tak i tu się stało, autorka nie mogła nam przedstawić Cezarego na drodze pracy narodowej, której samo nazwisko jest zakazane po tamtej stronie kordonu. Ztąd fabuła powieści wyszła niedostatecznie rozwiniętą, nieskończoną. Brakuje tu ostatniej części, którą czytelnik sam sobie musi dotworzyć.

Jeżeli jaki zarzut należy się autorce, to przedewszystkiem ten, że nie zrobiła z Cezarego odrazu bohatera powieści, to jest, że nie obudziła dlań wcześnie sympatyi w czytelniku, że go przedstawiła z początku zbyt niekorzystnie, ażeby późniejszy przełom mógł się wydać naturalnym.

Drugi zarzut, jaki można zrobić autorce, jest ten, że jeśli to nie losy jednego Cezara, ale całej rodziny miały być przedmiotem powieści, to nie doprowadziła ich do rozstrzygnięcia. Dowiadujemy się wprawdzie, że Wilhelm żeni się z panną Kniks, a Mścisław z jakąś księżniczką, ale ani jedno, ani drugie małżeństwo nie wywiera stanowczego wpływu na

losy rodziny, lub jej wyobrażenia. Pompalińscy, z wyjątkiem Cezara, odchodzą od czytelnika tak, jak przyszli i nie wiadomo dla czego tu, a niegdzieindziej ma się zakończyć powieść o nich.— Ale jeżeli Cezary się nie udał, to reszta Pompalińskich tworzy galeryą postaci pełnych życia i tchnących oryginalnością. Możnaby nawet w nagromadzeniu tak oryginalnych lub dziwacznych postaci jak Światosław, Mścisław, generałowa, obłąkany Kniks i sam Cezary, dopatrzeć wpływu Dickensa, wpływu, który zresztą podług nas jest o wiele dobroczynniejszym od naśladownictwa francuskiego romansu, byle nie przebierał miary, byle nie wykluczał studyowania natury, odwiecznej i najlepszej mistrzyni. A jednak Dickens inaczejby postąpił z Cezarym, zstąpiłby z czytelnikiem aż do lat dziecinnych Cezarego, kazałby patrzeć na dziecko, które jak kwiat bez słońca, rosło bez miłości macierzyńskiej i przygniecione było wyrokiem rodziny, że jest do niczego. Autorka mówi nam o tem na kilku stronnicach, ale nam nie dość informacyi, my czytelnicy, chcemy obrazów, chcemy żyć z tem dzieckiem, bawić się z niem, widzieć jego łzy i uśmiechy, ażebyśmy potem tak oryginalną mogli rozumieć postać.

Bądź co bądź dzięki pełnej i zajmującej charakterystyce innych postaci, żywemu, świetnemu nawet kolorytowi i zręcznemu układowi scen, powieść od początku do końca czyta się z wielkiem zajęciem. Do popularności jej zresztą nie mało się przyczyni i samo nazwisko autorki, tak zaszczytnie znane od lat dziesiątka w kole polskich czytelników. *J. T.*

KONKURS HISTORYCZNY.

Towarzystwo przyjaciół nauk ogłasza dla chcących ubiegać się o nagrodę zadania następujące:

„Pogląd na dzieje Słowian zachodnio północnych między Elbą a granicami dawnej Polski, od czasu wystąpienia ich na widownię dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych.“

W rozwiązaniu tego zadania pożądany jest szczególny wzgląd na:

a) związek etnograficzny między pomienionemi plemionami słowiańskiemi a ludnością Polski Piastowej;

b) stan kultury tychże plemion w owej epoce, mianowicie z rzutem oka na religią, zwyczaje i obyczaje, ustrój polityczny i społeczny, na stan rolnictwa, przemysłu, handlu, budownictwa i sztuki ówczesnej w ogóle;

c) zewnętrzny przebieg dziejowych wypadków, ze szczególnem uwydatnieniem wydarzeń, które spowodowały w różnych stronach Słowiańszczyzny północno-zachodniej ostateczną zagładę rozmaitych plemion;

d) wreszcie stosunek między temi plemionami a Polską.

Praca wyczerpująca w zupełności przedmiot ten, oraz mająca odpowiednie zalety układu i stylu, a obejmująca przynajmniej 25 arkuszy druku w dużej ósemce, otrzyma 1.500 marek nagrody.

Jeżliby między nadesłanemi taka się nie znajdowała, wtedy rozprawa względnie dobra, to jest odpowiadająca przynajmniej głównym warunkom zadania otrzyma 900 marek nagrody.

Pozostałe 600 marek zostaną albo w całości przyznane dziełu najlepszemu po poprzedniem, albo też rozdzieląsię między rozprawy przynajmniej częściowo przedmiot wyczerpujące.

Prace nagrodą uwieńczone pozostają własnością autorów, którzy jednakże będą obowiązani ogłosić je drukiem w przeciągu roku, po otrzymaniu nagrody. Gdyby tego nie spełnili, zarząd, jeżli uzna stosownem, ogłosi je swym kosztem na dochód towarzystwa. Manuskrypt przeto musi pozostać w rękach zarządu.

Każdy rękopism opatrzony być winien dewizą lub jakim innym znakiem a nazwisko autora dołączone w zamkniętej kopercie z równem oznaczeniem.

Ostateczny czas nadsyłania oznaczony na dzień 1. październiika 1879 roku, pod adresem: *Hieronim Feldmanowski* w Poznaniu, Młyńska ulica 35.

Wszystkie pisma nasze upraszamy o łaskawe powtórzenie powyższego ogłoszenia.

Zarząd tow. przyjaciół nauk Pozn.

Piśmiennictwo angielskie.

(*Joan* przez panią Rhodę Broughton. — *Two Lilies* przez Julią Kavanagh. — *Madcap Violet* przez p. Williama Blacka. — *The Devil's chain* przez Edwarda Jenkinsa.)

Gdyby ktoś prowadził statystykę powieści wydawanych rok rocznie w całym świecie, gdzie tylko znają prasy drukarskie, to napewne Anglia w tej rowodzi zajęłaby miejsce napierwsze. Główną przyczyną tego nadzwyczajnego rozrostu jest właściwe Anglii urządzenie czytelń, zwanych tam *circulating libraries*. Zakłady te tak są liczne w Albionie, że już one same stanowią dostateczną klientelę dla wydawców, pochłaniającą wszelkie druki z literatury lekkiej bez względu na ich wartość wewnętrzną. Wydawcy więc nie są wcale srodzy w wyborze manuskryptów; chodzi im o wydanie jak największej liczby powieści, bo odbyt ich mają zapewniony, nic więc dziwnego, że tyle tam płaskich i bez wartości rzeczy się ukazuje. Zdziwienie przejmuje człowieka na myśl, że naród ten, par excellence praktyczny naród, który wynalazł maksymę: *Time is money* może trawić dziennie tyle godzin na czytaniu rzeczy bezbarwnych, głęboko nudnych, w których ani idei, ani stylu, a często i ortografii dopatrzeć się nie można.

Wytłumaczenie tego faktu należy do ekonomistów, a nie do krytyków.

Rozbiór kilku dzieł nowszych wystarczy do zrobienia sobie pojęcia o tych nowych fabrykatach.

Joan pani Rody Broughton jest długą dwutomową powieścią. Dla czego Wolferstan, bohater powieści opuszcza pannę Joan, aby się ożenić z tłustą Lalage? jest to zagadka, którą napróżnobyśmy się silili rozwiązać, bo sam Wolferstam o tem nic nie wie. Przed ślubem jeszcze przychodzi do swej ukochanej i przysięga jej na swe życie, że nie wie dlaczego się z inną żeni. Jednakże po trzech latach refleksyi przychodzi nareszcie do przekonania, że Wolferstan żonaty nie jest prawdziwym Wolferstanem i że więc p r a w d z i w y może sobie mieć uboczne stosunki z panną Joan. Ta ostatnia jest panną cnotliwą i odchodzi z „bardzo solennym uśmiechem pożegnania na ustach.“ Z post-scriptum dowiadujemy się, że Lalage umarła z apopleksyi i że wszystko będzie mogło być dobrze załatwionem, jeśli tylko czas potrafi zmniejszyć roztrzepanie Wolferstana.

Miss K a v a n a g h w powieści „Dwie Lili“ wyrywa nas z tej atmosfery pospolitej i płaskiej, w którą pani Bronglon coraz głębiej się pogrąża. „Dwie Lili“ jest dziełem uczciwem i uczciwie napisanem, lecz brak jest w niem ruchu i życia. Edward Graham architekt jest przeciwieństwem Wolferstana; namyśla się bardzo długo zanim zawrze śluby małżeńskie, chociaż w rezultacie na nic mu się to nie zdało. Zaledwie został dobrze przyjęty przez Lili Scott, wnet jakiś wypadek nieprzewidziany psuje wszystko. Zwraca się wtedy ku Lili Bertram z równym skutkiem, a raczej niepowodzeniem. Powraca więc znowu do Lili Scott i to trwa tak dalej przez dwa długie, bardzo długie tomy, na końcu których Lili Bertram umiera w chwili, gdy już Graham jako narzeczony Lili Scott przekonywa się, że Lili Bertram posiada jego serce. Prawdziwym bohaterem romansu jest wieża, którą Graham buduje mimo oporu inspektora pomników historycznych, i którą kończy zwalczając niesłychane przeszkody. Przypomina to trochę pracowników Morza Hugona i walkę Gilyatta z Oceanem dla wyratowania okrętu.

Violetta waryatka Williama Blacka nosi tytuł zupełnie odpowiedni. Dziewczyna ta odrazu ukazuje się nam w postaci tak nieznaczącej, tak jest zdrowego sensu pozbawioną, iż nikt się nie dziwi, że wielkie zmartwienia rozproszą jej rozsądek drobny do reszty. Mimo to postać ta wywołuje pewną sympatyą z powodu szczerości i siły postanowień, nawet wtedy gdy te zalety oddaje na usługi złej sprawie. Nie potrzebujemy tu chwalić autora p. Williama Blacka, który dostatecznie jest znanym. Ma on wielki talent, lecz powinien się strzedz, by fejletony czasopism nie pożarły go, jak to czynią z niektórymi autorami francuzkimi. Sposób wydawania dzieł, nie pozwalający na poprawianie i retuszowanie, jest zgubnym dla sztuki. Sam geniusz musi się nieraz poprawiać, i nie można napisać coś porządnego oddając manuskrypt do drukarni w miarę, jak schnie atrament na zapisanych arkusikach.

Nawet najwięksi autorowie nie piszą bezkarnie dla prasy peryodycznej.

W szeregu ostrych pamfletów pisanych przez p. Edwarda *Jenkinsa* radykalnego członka angielskiego parlamentu, mających na celu walkę z niesprawiedliwością, występkiem, i egoizmem wyszedł z druku obecnie nowy utwór pod tytułem *Łańcuch dyabelski*. Jeden z pamfletów Jenkinsa *Dziecię Ginksa* znany jest i polskiej publiczności. Celem jego było przedstawienie nędzy w miastach i wykazanie, że proletaryat angielski zgniatany jest ciągle niemożliwościami życia najrozmaitszego rodzaju: budowa społeczeństwa, zakłady publiczne, obyczaje, wszystko pcha go na dół z pochyłości, u spodu której znajduje się *workhouse* lub samobójstwo.

Łańcuch dyabelski jest wymierzony przeciw pijaństwu, które w żadnej części Europy, za wyjątkiem Rossyi nie wyrządza takich spustoszeń jak w Anglii. Jeśli wierzyć można angielskim moralistom, to nietylko klasy niższe i mężczyźni oddają się tam trunkowi; pijaków spotkać tam można we wszystkich klasach, pomiędzy wielkimi panami i kupcami, w pałacu i w sklepie, w warsztacie i w salonie. Kobieta ludu szuka w dżynie i wódce zapomnienia chwilowego swych nieszczęść, — to prawdopodobne; lecz trudno nam wierzyć panu *Jenkinsowi*, że nałóg zaszedł wyżej, że opanował mieszczaństwo, i że nawet córka lorda upija się jak jej lokaj. Nikt nie wątpi, że wymowny i szlachetny autor przytacza tylko prawdziwe fakta, jak to sam w przedmowie twierdzi; lecz fakta prawdziwe mogą zrobić fałszywe pojęcie o rzeczywistości, jeśli są zgrupowane i przedstawione w sposób, że czytelnik z pojedyńczych wypadków robi wnioski w ogóle, z wyjątków o regule.

Po przeczytaniu *Łańcucha dyabelskiego* przychodzi się do przekonania, że całą Anglią trzeba byłoby zamienić w jeden wielki szpital pijaków. Na szczęście autor przesadził w opisie. Chciał on silny cios wymierzyć i otworzyć oczy publiczności na ogromne postępy alkoholizmu; ten cel został osiągnięty, książka wywołała ruch i zajęcie ogromne; oklaski i napaści posypały się ze stron wszystkich, naród wstrząsł się cały.

Pan Jenkins był zadowolony.

BIBLIOGRAFIA

polska.

— *Co robić?* Rzecz o kwestyi: Neutralność czy udział w wojnie wschodniej przystoi Polakom? przez Nie-Emigranta. 8ka str. 26. Toruń, 1877. 35. ct.

Boistelet. Wykład prawa handlowego. Przełożył Stefan Godlewski. 8ka str. 463. Warszawa 1877. 5 złr.

Zawiera: Wiadomości filozoficzne i ekonomiczne. Pochodzenie i redakcya kodeksu handlowego. O handlu w ogólności. O osobach w prawie handlowem. O handlujących. O księgach handlowych. O rozdziale majątków. O spółkach. O umowach w prawie handlowem. O kupnie i sprzedaży. O zastawie i o komisantach. O Giełdach, ajentach wymiany i stręczycielach.

— *Hofmanowa*. Dzieła. Wydanie nowe pod redakcyą Narcyzy Żmichowskiej, z dodaniem życiorysu i objaśnień. Tom XII. (ostatni.) 8ka str. 477. Warszawa 1877. 2. 10 ct. całość 12 tomów 25. 20 ct.

Zawiera: Jan Kochanowski w Czarnolesiu. Powieść historyczna

— *Homer*. Odyseja. Przekład Lucyana Siemieńskiego, wydanie nowe. 8ka str. 360. Warszawa 1876. 2. 50 ct.

— *Jankowski Edmund*. Krzew winny, jego hodowla w gruncie i w budynkach. Z 34 drzeworytami. 8ka str. 136. Warszawa 1877. 1. 10 ct.

— *Jankowski Edmund*. Kwiaty naszych ogrodów t. j. opis i hodowla kwiatów gruntowych wraz z zasadami tworzenia kobierców kwiatowych, wzorami klombów, przykładami rysowania ich i obsadzania. Z 355 figurami in 4° str. 410. Tablic 13 Warszawa 1877. 16 złr.

— *Jastrzębowski Ludomił*. Rzecz o chwastach i o sposobach zupełnego ich wytępiania. 8ka str. 47. Warszawa 1877. 90 ct.

— *Kadler Dr.* O leczeniu przymiotu. Warszawa 1877. 45 ct.

— *Kraszewski J. I.* Masław, powieść z XI. wieku, w 2 tomach 8ka str. 220. i 207. Warszawa 1877. 3. 30 ct.

— *Lassale Ferdynand.* Program robotników (o szczególniejszym związku pomiędzy spółczesnym okresem historycznym a ideą klasy robotniczej). 8ka str. 38. Lwów 1877. 30 ct.

— *Librowicz Zygmunt.* Zaczarowany Szlafrok. Głupstwo sceniczne w jednym akcie. 8ka str. 44. Warszawa 1877. 85 ct.

— *Marczewska Aleksandra.* Opowiadanie dla dzieci: Ignaś z Dubiecka. 8ka str. 96. Warszawa 1877. 55 ct.

Zawiera: Życiorys Ignacego Krasickiego.

— *Nowosielski Teofil.* Grzeszki parnasowe. Garstka poezyj lirycznych i humorystycznych. 8ka str. 112. Warszawa 1877. 1·25 ct.

— *Rafalski i Freudl.* Warszawski rocznik adresowy firm handlowych, przemysłowych i rękodzielniczych 8ka. Warszawa 1877. 1·80 ct.

Rembieliński Gustaw. Machiny parowe w zastosowaniu do potrzeb rolnictwa i machiny rolnicze in 4° str. 135 Warszawa 1876 2 złr.

— *Schwartz.* Dzieci pracy. Powieść 2 tomy w jednym, 16. str. 344. Warszawa 1877 1. 70 ct.

— *Wojcicki K. W.* Klechdy. Starożytne podania i powieści ludowe. in 4° str. 221. Warszawa 1876. Wydanie ozdobne licznemi illustracyami. Oprawne w płótno ang. 6 złr.

— *Wolski K.* Najsłynniejsze sprawy kryminalne w obcych krajach. Zeszyt pierwszy. Sąd Boży. 8ka str. 53. Lwów 1877 30 ct.

— *Ziemsen.* Patologia i terapia szczegółowa. Choroby narzędzi oddychania. 8ka. str. 608. Warszawa 1877. 9. 45 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— W dalszym ciągu znanej ze swej taniości Biblioteki arcydzieł polskich, p. n. *Biblioteka Mrówki*, wyszły tomiki 46 i 47 i zawierają Karola Brzozowskiego „Noc strzelców w Anatolii", prześliczny poemat, w którym autor przedstawia wygnańców polskich w głębi Turcyi azyatyckiej marzących o lepszych czasach, o ziemi ojczystej, o ukochanym Niemnie, i na tem tle osnuwa powiastkę tak serdeczną i wdzięczną, że czytelnik mimowolnie przenosi się w tę krainę wyobraźni. Następny tomik zawiera Ignacego Krasickiego „Satyry". — W dalszym ciągu tej biblioteki wkrótce mają się ukazać Seweryna Goszczyńskiego „Osa", powieść z czasów Bolesława Wielkiego i „Anna z Nabrzeża", powieść z czasów historycznych, oraz I. Krasickiego żartobliwe poemata „Monachomachya" i „Antymonachomachya".

„Dziejów powszechnych" Szlossera wyszedł już z druku zeszyt 115, rozpoczynający 20 kwartał tego szacownego wydawnictwa i zawiera Dzieje Dwunastego roku i upadek Napoleona. W dalszym ciągu jako kontynuacya dziejów powszechnych, ponieważ Szlosser zakończył swoje opowiadanie na roku 1815, wzięty jest tekst z dzieła Karola Hagena „Dzieje najnowszych czasów".

— w Chicago od połowy Maja r. b. wychodzi nowe czasopismo p. t. „Przyjaciel ludu," pod redakcyą p. Wendzińskiego a nakładem i drukiem pp. Radnickiego i Wendzińskiego.

— W Poznaniu wyszła rozprawa krytyczna: „O sobótce i o ogniach świętojańskich". — Autorem tej pracy jest p. Romuald Frydrychowicz doktór filozofii zamieszkały w Berlinie.

— W tych dniach pojawiła się broszurka p. Władysława Lepperta p. t. „Badanie nad koniferyną i waniliną, dokonane przez Tiemana i jego współpracowników."

— Pomiędzy utworami odznaczonymi na konkursie poetycznym w Bordeaux znajdujemy p. Maryą Obalską i p. Juliusza Mien zamieszkałego stale w Krakowie, którzy otrzymali wzmiankę zaszczytną.

— W Warszawie życzliwi przyjaciele i koledzy po piórze składali życzenia panu Ludwikowi Jenike, redaktorowi „Tygodnika Illustrowanego" jako w 25 letnią rocznicę pracy szanownego jubilata w mozolnym zawodzie redaktorskim. Ludwik Jenike, zaproszony przez Merzbacha, kierował przez lat kilka wydawnictwem „Księgi Świata" — następnie zaś objął redakcyą „Tygodnika Illustrowanego" i po dziś dzień prowadzi ją bez przerwy. Życzymy szczerze i mamy nadzieję, że szanowny jubilat długie jeszcze lata z równą jak dotąd wytrwałością dzierżyć będzie pióro, którem dobrze się zasłużył społeczeństwu i literaturze.

— Na sztalugach Gersona znajduje się obecnie duży obraz p. t. „Święta Jadwiga". Obraz przedstawia sklepioną izbę sądową, w której za stołem, pokrytym księgami i różnemi narzędziami, zasiedli sędziowie. Przed nimi klęczy obwiniony, a we drzwiach izby ukazuje się księżna Jadwiga, która miała zwyczaj odwiedzać więzienne i sądowe sale, łagodzić kary i wyroki, i nieść pociechę zgnębionym. Taki jest temat obrazu. Płótno mieć będzie $2^1/_2$ łokcia długości i $1^1/_2$ wysokości.

— Opera Marsenet'a „Król Lahory" — tryumf naszej rodaczki panny Reszke — ma być wystawioną w nowo wzniesionym teatrze drezdeńskim. Niemcy, którzy z takiem zamiłowaniem lubią przeinaczać po swojemu nazwiska miast i miejscowości wcielonych zrządzeniem losu do ich terrytoryum — i „Króla Lahory" przeinaczyli. Opera ta bowiem na niemieckich scenach ma nosić tytuł „Sita"

Szkoły.

Ze sprawozdania Dyrekcyi Gimnazyum w Tarnowie na rok 1877 dowiadujemy się, że Gimnazyum to liczy 26 profesorów i nauczycieli. Uczniów zapisało się 482 z końcem r. było 432, najmłodsi w wieku lat 10, najstarsi 24, są wszakże w I. klasie 16 i 17 letni. Świadectwo chlubnej dojrzałości otrzymało 6 uczniów, świadectwo dojrzałości otrzymało 14 — na uniwersytet udaje się 18, z tej liczby 10 na wydział prawny, 8 na inne wydziały, 1 do akademii górniczej, 1 do akad. oryentalnej. — Do I klasy uczęszczało 101, do VIII. zaś 25. — Dyrektorem gimnazyum jest zaszczytnie znany w świecie naukowym p. Bronisław Trzaskowski.

W szkole technicznej, istniejącej przy kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej, odbył się onegdaj akt uroczysty zakończenia roku szkolnego. Obecni byli bardzo zadowoleni z całego stanu instytucyi, świetny rozwój której jest przedewszystkiem owocem dzielnego kierunku Inspektora Szkoły, inżyniera p. Ludwika Wojno, i niezmordowanej pracy innych kierowników zakładu.

Stowarzyszenia.

— Ze sprawozdania za rok 1875–6 Towarzystwa Bratniej Pomocy akademików lwowskich dowiadujemy się, że ogólna liczba słuchaczy na tutejszej wszechnicy przeciętnie wynosi 1000 - w r. 1876 było tylko 998. Z tej liczby zaledwie czwarta część, bo 227, należy do Towarzystwa Bratniej pomocy. Trzeba przyznać, że jest to objaw nadzwyczaj smutny, zwłaszcza, iż obowiązki członka redukują się do złożenia rocznej wkładki 2 złr. na pomoc dla biednych kolegów i inne potrzeby towarzystwa. Dochód ogólny wynosił 2.105 złr. a to z wkładek członków 295, z datków członków honorowych, 197 z koncertów, balów, zabaw różnego rodzaju i innych wpływów 1613. Ten dochód był rozdzielany: 701 złr. na fundusz pożyczkowy, 701 na zapomogi, 190 na koszta administracyi, 175 na fundusz żelazny (który wynosi 3899 złr.) i z którego procent w r. 1876 powiększył dochód ogólny o 202 złr. Zażądało zapomogi 63 i każdy otrzymał przeciętnie 13 złr. rocznie, czyli mniej jak 4 centy dziennie. Z taką zapomogą można umrzeć z głodu.

Jest więc garstka młodzieży, która pojmuje obowiązki koleżeńskie i stara się je spełniać w miarę możności, majętniejsi usuwają się od tak świętego obowiązku, aby jedną okruszyną ze swego stołu podzielić się z tymi, co walcząc z głodem kształcą się na pożytecznych krajowi obywateli. Towarzystwo istnieje lat dziesięć i stosunek w tym czasie prawie się nie zmienił. Potrzeba więc pozostawić na stronie samolubów, a tylko mówić z tą garstką, która czuje potrzebę solidarności. Radzimy jej, ażeby zaniechała podziału dochodu, lecz cały obracała na zapomogi, w ten sposób wypadłoby na każdego po 33 złr., jest to bardzo mało, ale jest już czemś. Co do funduszu żelaznego, którego odsetki wpływają na powiększenie dochodu, wartoby zrobić odezwę do kraju. Przy ogólnem pojmowaniu u nas potrzeby oświaty można liczyć na poparcie dziennikarstwa i w ogóle na dobry rezultat. Zamiast oddzielać część dochodów na kapitał pożyczkowy, możnaby część czwartą, a przy powiększeniu się funduszu żelaznego mniejszą jego część przeznaczyć na ten cel. Kraj ma obowiązek przyjść z pomocą ubogim uczniom wszechnicy i nie ma prawa wymagać innej kontroli funduszów nad koleżeńską, obowiązek jest tem większy o ile że, jak ze sprawozdania widać, $^3/_4$ akademików kształci się na pasożytów, z których kraj żadnego pożytku mieć nie będzie.

— Towarzystwo Bratniej pomocy szkoły Dublańskiej w ubiegłem półroczu liczyło członków zwyczajnych 44, honorowych 40. Walnych zebrań odbyło Towarzystwo 2. Zebrań literacko-muzykalnych 9. Przedmiotem zebrań literackich były odczyty członków i rozbiór takowych, sprawozdania z wycieczek naukowych, dysputy i narady w różnych kwestyach. Czasopism czytelnia odbierała 31, z tych 5 politycznych, 13 rolniczych, 1 przyrodnicze, 12 belletrystycznych. Biblioteka zakupiła dzieł nowych 12, otrzymała w darze 106. Dochód wynosił 533 złr., rozchód 467 złr. Z tego na czasopisma i książki wydano 263 złr. Majątek Towarzystwa wynosi 1841 złr.

Przemysł.

— Minęły już czasy, gdy się przed grozą dzikiej Niagary, korzył się w zdumieniu i trwodze daleki przybysz; dzisiaj łoskotowi wodospadu towarzyszy świst lokomotywy, po nad załomami kataraktu zarzucone są wiszące mosty, w jej grotach gospodarują restauratorowie, skały przemyślni Yankesi owijają sążnistymi afiszami opiewającymi zalety kauczuku, amerykańskich skór, bawełny itd. Ale nie dość na tem, „New-York Herald" donosi, że olbrzymi ten spad wody użytym zostanie jako motor fabryczny. Pewien gentleman z Buffalo, nabył na własność drogą licytacyi siłę hidrauliczną wodospadu za sumę 71.000 dolarów. Druga część Niagary, od strony Kanady, nazwana „Horse shoe" (Podkowa), ulegnie zapewne podobnemu losowi. Obecnie doktor Siemens obliczył, że ilość wody spadającej z „Podkowy," wynosi na godzinę 100 milionów tonn. Siła tego spadku równa się sile 16,800.000 koni; aby podobny motor wywołać siłą pary, trzebaby rocznie palić 266 milionów tonn węgla. „A zważywszy — mówi dr. Siemens — że produkcya roczna węgla kamiennego, wynosi mniej więcej 270 milionów tonn rocznie, wypadnie, że spadek „Podkowy" użyty jako motor, wystarczyłby do trzymania w ciągłym ruchu, wszystkich fabryk, lokomotyw i kotłów parowych, funkcyonujących we wszechświecie."

Wypadki.

— W tych dniach we wsi Prażmowo, w powiecie sieradzkim, świnia odgryzła uszy i palce u nóg i rąk dziecku włościanina Hoka, pozostawionemu bez dozoru. Wypadek ten, dość częsty na wsiach — zakończył się w kilka godzin śmiercią dziecka.

— Szczególny wypadek wydarzył się w okolicach Katowic, w Szląsku pruskim. Pewien robotnik, którego widziano pijanym, usnął w lesie na ogromnem mrowisku. Mrówki rozdrażnione tem, obżarły mu prawie zupełnie całą twarz i język. Przeniesiony do domu, nieszczęśliwy wyzionął ducha w przeciągu kilku godzin, wśród strasznych cierpień.

Wynalazki.

Amylometr Dembego. Podczas wystawy rolniczej w Toruniu odbytej w roku 1874, zwracał na siebie uwagę techników i ziemian amylometr wynalazku pana Józefa Dembego, wówczas profesora szkoły rolniczej w Żabikowie. Obecnie w dzienniku Towarzystwa chem., w opisie wystawy przyborów aparatów technicznych odbytej niedawno w Londynie w „South Kensington Museum," — czytamy o tymże amylometrze słowa następujące:

„Pomiędzy aparatami wystawionymi do robót analitycznych i technicznych zyskał szczególne powodzenie przyrząd wynalazku p. Dembego, zwany amylometrem, dający możność szybkiego i akuratnego oznaczenia ilości mączki w kartoflach. Należy dodać, że wynalazca otrzymał za ten przyrząd medale i odznaczenia na wielu wystawach rolniczo-przemysłowych."

Z naszej strony dodajemy do tej pochlebnej wzmianki, że dla naszych gorzelni amylometr Dembego jest narzędziem bardzo pożytecznem, a łatwość manipulacyi czyni go praktycznym nawet dla mało wykształconych gorzelników.

ROZMAITOŚCI.

— W porcie Portsmouth odbyły się w tych dniach próby z nowym wynalazkiem, który całkowicie uniemożebnia wszelkie niebezpieczeństwo, grożące okrętom od zatopionych przy brzegu torpedach. Kierownik szkoły w Portsmouth w obecności zaproszonej admiralicyi angielskiej i wielu gości prywatnych okazał, że torpedy odtąd wcale nie mają znaczenia. W obszernej zatoce oznaczono przedewszystkiem położenie pewnej liczby torped fikcyjnych za pomocą kotwic. Małe czółenko, poruszane mechanizmem, ruszyło z szybkością strzały drogą łukową wśród rzekomych torped, i samo sobą sterując, wróciło napowrót do punktu zkąd wybiegło. Zaledwie się to stało, gdy słaby wybuch dał się słyszeć niby zdala, a równocześnie skutki takowe się okazały. Morze na przestrzeni mniej więcej, kilku set stóp podniosło się i utworzyło olbrzymią kolumnę wodną w samym środku eksplozyi, wyrzucając kamienie, muł i szczątki kotwic. Przyczyną tego straszliwego wybuchu, było to drobne czółno, które przejeżdżając pośród linii torped, niepostrzeżenie upuściło t. z. przeciwtorpedę, napełnioną trzema centnarami bawełny strzelniczej i opatrzoną przyrządem, który łącząc wszystkie miny będące na dnie morza, w okręgu najmniej 150—200 stóp, zapala je od razu. Przeciwtorpedy te szczególnie z korzyścią użyć się dadzą przy minach płytko osadzonych, chociaż i przy innych łatwo zrywają łączniki elektryczne i rozrzucają skrzynie torpedowe. Druga próba okazała, że najcięższe łańcuchy, które przeszkadzają zbliżeniu się łodzi torpedowych, można zerwać jak nić najsłabszą pływającemi torpedami, do których nabicia użyto tylko 3 do 5 funtów bawełny strzelniczej. Ostateczna eksplozya 12-u torped, ułożonych w należytem oddaleniu, wzruszyła morze na przestrzeni kwadratowej mili angielskiej. Wody pieniły się i piętrzyły jak w czasie najstraszliwszej burzy. Słowem środki zniszczenia coraz większe przybierają rozmiary i nie wiadomo gdzie się zatrzymają, jeżeli dalej w tym samym stosunku postępować będą.

— Z Królewca donoszą, że w nocy z czwartku na piątek minionego tygodnia błoto na ulicach było zmarźnięte a trawa na łąkach pokryta lodem. A stało się to w nocy w której się według kalendarza lato zaczyna! Z Gniezna donoszą, że tejże nocy zmarzły po niektórych ogrodach kartofle i grochy.

— Gazety niemieckie podają ciekawe cyfry o wzroście wydawnictwa i jego kierunku w Niemczech od roku 1871 do 1876. Dzieł teologicznych w r. 1871 wydano 1362 a w roku 1876—1146; geograficznych i historycznych w 1871 roku 1139 w roku 1876 tylko 983, pedagogicznych i szkolnych 1059—1629; belletrystycznych 1335—1635; jurysprudenckich i politycznych 1052—1329; przyrodniczych 579—818; lekarskich 459—703; matematycznych i astronomicznych 144—190; militarnych 251—339; handlowych 453—531; technicznych 206—386; agronomicznych 339—443. Charakterystycznym jest fakt, że gdy przed 20 laty dzieła teologiczne składały $^{1}/_{4}$ część wszystkich wydań w Niemczech, obecnie stosunek ten coraz większej ulega zmianie na niekorzyść teologii.

— (Wino szampańskie). Niedawno ogłoszone sprawozdanie izby handlowej w Rheims, przedstawia następujące dane o winie szampańskiem: Od 1 kwietnia 1844 r. do 1 kwietnia 1877 r., czyli w przeciągu 33 lat wyprodukowano w Szampanii 397,867.501 butelek wina, a mianowicie: 311,029.493 butelek dla wywozu za granicę, a 86,838.108 na spożycie wewnątrz kraju. Wywóz za granicę od r. 1844 zwiększył się niezmiernie, od tej daty bowiem do r. 1845, wynosił zaledwie 4,380.214 butelek a od 1876—77 r. przedstawiał cyfrę (i to jeszcze nie jedną z największych) 13,882.964. W roku poprzednim, to jest od 1875 do 1876 wywóz zagraniczny przewyższał cyfrę z ostatniego roku o cały milion butelek. Podczas wojny francusko-niemieckiej produkcya wina uległa naturalnie znacznemu upadkowi. Od r. 1870 do 1871 wywieziono zaledwie siedm i pół milionów butelek za granicę; w poprzednim zaś roku wywóz ten dochodził do 14 bez mała milionów. Konsumcya wewnętrzna w r. 1844 pochłaniała 2,255,438 butelek, a w r. 1876 wzrosła do 3,127,991.

— Jak olbrzymie są przygotowania czynione do paryskiej powszechnej wystawy, mającej się odbyć w r. 1878, sądzić można z następującego budżetu zatwierdzonego przez izby. Na ogólne wydatki jako to: zarząd, medale, festyny i wystawę zwierząt, wyasygnowano 4,001.300 fr., na roboty około wzniesienia gmachu wystawy na polu Marsowem wraz z maszynami i t. d. — 21,340,000 fr. na roboty w Trokadero — 8,450,000 fr. i na nieprzewidziane wydatki 1 milion fr., co razem wynosi sumę 35,313,000 franków.

— Pomimo usiłowań rządu angielskiego i francuskiego, ohydny handel niewolnikami wzdłuż afrykańskich wybrzeży w najlepsze dotąd się odbywa. Krajowcy prowadząc ciągle między sobą wojny, wziętych do niewoli nie tylko w bitwie, ale i po zniszczonych osadach chwytanych, sprzedają handlarzom, w największej części Arabom.

W raporcie angielskiego agenta rezydującego w Zanzibar, raporcie, który znalazł miejsce w „niebieskiej księdze“ przez rząd angielski ogłoszonej, znajdują się obszerne a smutne szczegóły o tym handlu ludzkości hańbiącym. Według niego 100.000 niewolników w ciągu roku na tem wybrzeżu Afryki wsadzono na okręty i łodzie: 32.000 w Pangani, 16.000 w Jasi, 15.000 w Pemba. Ceny były od 100 do 350 franków; ostatnią płacono tylko za najpiękniejsze dziewczęta. Śmiertelność wśród karawan niewolników, na brzegi prowadzonych, dochodziła w niektórych miejscowościach do przerażającej cyfry 75 na 100.

— Niemiecki autor Behm w dziele „Geographisches Handbuch“ wskazuje następujące dane, dotyczące dróg żelaznych i telegrafów.

Długość dróg żelaznych w r. 1874 w całej Europie wynosiła 19.276 mil geogr., w Afryce 18.000, w Azyi 1.658, w Australii 415, w Ameryce 328.

Włożony w budowę dróg żelaznych całej kuli ziemskiej kapitał w 1875 r. obliczono na 65.254 miliony marek. Przyjmując że kapitał ten przyniesie tylko 4%, suma z odsetek tych osiągnięta da rocznie 2.600 milionów marek, czyli dziennie 7 milionów marek.

Wszystkich parowozów w Europie autor liczy 42,000 sztuk, nadto, 90,000 wagonów osobowych i milion towarowych; na całej zaś kuli ziemskiej istnieje 62.000 parowozów, 112,000 wagonów osobowych i 1,465,000 towarowych. Liczba podróżujących na kolejach żelaznych europ. dochodzi rocznie do 1,140 mil. osób; ruch zaś towarowy dosięga 10,800 milionów cent. Na całej ziemi przewożą rocznie drogami żel. osób 1.550 milionów i towarów 16,130 mil. cent., czyli dziennie 4 miliony osób i towarów 44 mil. cent.

Długość linij telegrafów w 1875 r. wynosiła: w Europie 336,925 kilom., w Ameryce 168,347, w Azyi 39,935, w Australii 28,847, w Afryce 11 639. Długość lin podmorskich 85,000, razem 671,723 kil., czyli 90,520 mil geograficznych.

— Rada municypalna paryska wkrótce ma zastanawiać się nad projektem do konkursu, o najlepszym sposobie palenia ciał ludzkich. Oto treść projektu, do którego inicyatywę dał p. M. Cadet. Art. 1. Otwiera się konkurs na najlepszy sposób palenia ciał. Palenie to winno zachować następujące warunki: zniszczenie materyj organicznych tak, żeby one nie wydawały żadnego odoru, ani też gazów rozkładowych — winno zachować w całości stałe części ciała — winno być szybkie i tanie i nakoniec, nie przeszkadzać spełnieniu ceremonii religijnych, wszelkich wyznań. Art. 2. Konkurs otwiera się z dniem 1 lipca 1877 — a kończy się dnia 31 grudnia t. r. Konkurujący mają dołączyć do projektu cenę i sposób palenia. Art. 3. Po zapłaceniu oznaczonej ceny, miasto Paryż staje się właścicielem sposobu palenia. Art. 4. Przyjęcie projektu nastąpi dopiero po doświadczeniach odpowiednich. Doświadczenia te odbywać się będą kosztem konkurujących — miasto jednakże część kosztów przyjmuje na siebie, jeżeli sędziowie przyznają, że projekt ma szanse udania się. Art. 5. Sędziowie ci będą mianowani przez p. prefekta Sekwany — komplet ich składać się będzie z 15 członków, z których trzecią część stanowić będą członkowie rady municypalnej. Art. 6. Autor projektu uznanego za najlepszy otrzyma nagrody 25,000 franków — drugi projekt wynagrodzony będzie 15 tysiącami, a trzeci 10 tysiącami franków. Art. 7. Rada municypalna objawia życzenie, ażeby władza prawodawcza wydała przepis upoważniający do palenia.

— Opera włoska bez Włochów. Na przyszły sezon opery włoskiej w teatrze królewskim w Londynie zaangażowaną została truppa artystów składająca się z 7-miu primadon, z tych jedna Szwedka, jedna Angielka, Francuzka, Belgijka, i trzy Niemki. Czterech tenorów, z których jeden Hiszpan, drugi Francuz, trzeci Anglik, czwarty Niemiec, dalej barytony: Francuz i Hiszpan, basy: Francuz, Hiszpan i Amerykanin.

— W Kolonii nad Renem było 24. czerwca silne trzęsienie ziemi. Wiadomości o tem zjawisku dochodzą jednocześnie z Solingen, Stolberg, Eszwejler, Jülich, Akwisgranu, Hercogenrath i Wezel, słowem trzęsienie ziemi miało miejsce na całej północno-wschodniej przestrzeni prowincyi nadreńskiej. Wszystkie dzwony w mieście zajęczały nagle o 9-ej godzinie rano. Sufity i ściany w wielu miejscach poodpadały. Wiele kominów wywróconych zostało. W kościołach był zgiełk i przestrach nie do opisania. Ofiar nie było.

— Bank w Neapolu stał się ofiarą oszustwa. Przed paru dniami zgłosił się jakiś jegomość z 35 sztukami obligacyj narodowych, zażądawszy na takowe forszusu 50 tysięcy lirów. Sprawdzono papiery i znaleziono je w porządku. Okazało się jednak później, że były to sfałszowane duplikaty. W podobny sposób oszukano dom Ferraud na 200 tysięcy, dom zaś Della-Santa na 7,000 lirów.

— Fryderyk Wielki uważał wróble jako niszczycieli nietylko ziarna ale i owoców, i dla tego prawem zalecił niszczenie wróbli, ku czemu wyznaczył nagrody za dostarczane łebki wróbli. W skutek podobnego rozporządzenia, po niejakim czasie taka masa namnożyła się rozlicznego robactwa i owadów, że zagrażała zgubie rolnika, a szkody ztąd wynikłe o wiele przewyższały straty, spowodowane przez wróbli. Tymczasem Ryszard Bradlay zajmując się śledzeniem skonsumowanego ziarna przez wróble, powiada, że każdy wróbel na całoroczne utrzymanie swoje. potrzebuje mniej więcej pół szefla ziarna. Przypuśćmy, powiada Bradlay, że we wsi mającej 100 mieszkańców, żyje tylko 100 wróbli, to w Prusach mających 24 miliony mieszkańców, z których około 70 procent mieszka po wsiach, znajduje się 17,000.000 wróbli, oprócz tego śmiało przypuścić można, że 4,000 000 przebywa po małych miastach, a 1,000.000 w dużych, czyli że razem 22,000,000 wróbli zjada 11,000.000 szefli ziarna. Przypuśćmy że w Austryi zjadają 16.000 000, w Bawaryi 2 i jedna trzecia miliona, w Saksonii 1 i jedna trzecia miliona szefli i t. d., a nadto że masę kłosów kruszą, masy zdziebeł łamią, to będziemy, powiada Bradlay, mieli obrazek strat jakie wróble corocznie przynoszą. Jakkolwiek straty te bardzo wielkie, to wszakże nikt zapewne nie zgodzi się z autorem, który radzi czemprędzej powybijać wszystkie wróble, a tylko w muzeach pozostawić ślady ich wypchane, wygubienie bowiem wróbli sprowadziłoby daleko gorszą klęskę niczem nie wyrównywającą stratom jakie autor przytacza.

Od Redakcyi.

W. Pan M. M. w Nowym Yorku. Prenumerata na „Tydzień“ do Ameryki wynosi rocznie 40 fr. (czyli 20 złr.) pokryta 17·60. Po nadesłaniu jeszcze 2·40 będzie wyrównaną do końca b. r. — „Kaukaz“ z przesyłką do Ameryki kosztuje 7 fr. (czyli 3 złr. 50 c.), czy mamy wysyłać? Dziękujemy za pamięć.

W. Pan J. S. Ch. w Villeneuve. Nra żądane wysłaliśmy. Za przyrzeczenie dziękujemy.

W. Pan Zygmunt B. w miejscu. Wierszyk pański: „Życzenie“ drukowanym w „Tygodniu“ nie będzie.

Treść Nr. 43.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.